Cena 10 zł
(wraz z cegiełką na Dom Słowa Polskiego).

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II. Katowice, Wrocław, Szczecin, 28 lipca 1946 r. Nr 24 (35)

Uniwersytet Gdański Biblioteka 02015

Karol Małeczyński

O mądry rozdział zbiorów

Kiedy dziś stoimy w przededniu realizowania postanowień konferencji moskiewskiej i cała Polska oczekuje powrotu naszych dóbr kulturalnych ze wschodu, wypada się zastanowić, czego powinniśmy oczekiwać, czego się domagać, czym wreszcie gospodarzyć natychmiast po powrocie. A zagadnienie to jest pilne i ważne i winno skupić na sobie uwagę każdego Polaka. Państwo nasze, wyniszczone ekonomicznie 6-letnią okupacją niemiecką, winno przynajmniej na polu kulturalnym ponieść możliwie jak najmniejsze straty; dbać o to winny pilnie nasze czynniki oficjalne.

A więc spodziewamy się powrotu naszego dorobku kulturalnego całych pokoleń w formie przybycia naszych bibliotek narodowych i prywatnych, zbiorów sztuki, archiwów i muzeów. A skarby w nich zawarte olbrzymie. Nie tylko sam fakt istnienia setek tysięcy książek, wydanych w polskim języku, a odnoszących się do spraw polskich, czy obcych poloników mówiących o Polsce, stanowi dorobek naszej kultury umysłowej. Sama biblioteka, bez względu na jej zawartość, jest produktem myśli polskiej, jest wytworem pracy na polu kultury całych pokoleń naszych praojców. Nawet książki obce, francuskie, angielskie, włoskie czy niemieckie, zebrane w naszych bibliotekach z myślą stworzenia pewnej organicznej całości, z zamiarem dania podstaw polskim badaczom pod porównawcze studia na jakimkolwiek polu nauki, przetopione, żeby tak rzec, na polski warsztat naukowy, stanowią bezsporna własność polskiej myśli i dorobku kulturalnego. Zbiory gromadzono od wieków z myślą ich ciągłego rozbudowywania i powiększania, powinny tedy wrócić w takiej całości i formie, jakie im nadały przez całe pokolenia prace naszych inicjatorów i wykonawców zamierzeń i fundatorów. Wtedy tylko, gdy wrócą w nieuszczuplonej postaci dadzą nam prawdziwy, a nie spaczony we wklęsłym zwierciadle, obraz kultury polskiej na przestrzeni całych stuleci.

Wszyscy mamy obecnie na ustach powrót do kraju zbiorów „Ossolineum". Spodziewamy się tedy, że wróci cały i nieuszczuplony (zdewastowany częściowo jedynie wypadkami wojennymi) przede wszystkim zasób książek, tak jak go ufundował niezapomnianej pomięci twórca Ossolineum, Józef Ossoliński, jak go z pietyzmem dla zamierzeń twórcy kontynuowali taki Słotwiński, Szlachtowski, Szajnocha, Bielowski, Małecki i Kętrzyński. A obok książek, rękopisy w całości swej zawartości, jak je skupywali w swych licznych podróżach po kraju i zagranicy dyrektorzy Ossolineum z niezapomnianym Bielowskim na czele, z myślą dania uczonemu polskiemu możności pracowania w kraju nad zagadnieniami go interesującymi. A dalej archiwum Ossolineum, setki dokumentów pergaminowych średniowiecznych, setki tysięcy listów, rachunków, inwentarzy dóbr z różnych zakątków Polski, będących produktem tylko polskiej rzeczywistości dziejowej, ale i objawem polskich zamierzeń kulturalnych, które z myślą o przyszłości gromadziły je i uzupełniały wszechstronnie. Następnie w najściślejszym związku z Ossolineum pozostające zbiory Lubomirskich, stanowiące dziś z poprzednimi jedną prawną całość: muzeum, galeria obrazów, zbrojownia, gabinet sztychów, zbiory numizmatyczne. Obok tego wreszcie zbiory Pawlikowskich, gromadzone przez parę pokoleń mecenasów kultury naszej w Medyce, a zapisane Ossolineum, z 35-tysięczną biblioteką, pełną rzadkich dzieł, ze wspaniałym o europejskim znaczeniu zbiorem rycin, gabinetem pieczęci i medalów. Wszystkie one dopiero razem wzięte tworzą dzisiejsze Ossolineum i jako takie, jako jedna organiczna całość, winny obecnie wrócić do kraju.

Choć Ossolineum jest najcenniejszą perłą w kolekcji naszych zbiorów lwowskich, nie wyczerpuje jednak bynajmniej ich listy. Istnieje bogaty i cenny zbiór Baworowskich, obfitujący w starodruki i cenne rękopisy. Statut biblioteki normuje jej losy na wypadek taki, jaki obecnie zaistniał. Wolę fundatora należy uszanować. A dalej biblioteka Dzieduszyckich, nie tylko 45000 książek, nieraz unikatów i rzadkich druków, ale jedyne w swym rodzaju w Polsce zbiory przyrodnicze, prehistoryczne i etnograficzne, dające doskonały przegląd bogactw naturalnych i kulturalnych w całej Polsce. A wreszcie mały, zapomniany klejnot: biblioteka Czartoryskich, przywieziona w r. 1924 z Honfleur we Francji do Polski i zdeponowana w lwowskiej bibliotece uniwersyteckiej. Zawiera setki najciekawszych książek przeważnie francuskich, gromadzonych przez polskiego mecenasa kultury na obczyźnie z myślą o tym, iż stanie się kiedyś pomocą polskiego badacza nad dziejami emigracji polskiej XIX w. I ona w myśl postanowień fundatora powinna obecnie wrócić do kraju.

A dalej zbiory sztuki: galeria Orzechowicza, gromadzona całe życie przez tego skromnego człowieka i ofiarowana społeczeństwu polskiemu, zawierająca obrazy nie tylko polskich, ale i obcych artystów. A dalej galeria miasta Lwowa o podobnym charakterze i celu, jak poprzednia. A wreszcie osobny odcinek naszego życia kulturalnego we Lwowie: nakłady firm wydawniczych lwowskich: Ossolineum, Książnicy-Atlas, dalej poszczególnych towarzystw naukowych: Naukowego, Historycznego, Literackiego, przyrodniczego im. Kopernika i wielu wielu innych, które obok archiwów ich powinny za każdą cenę znaleźć się w kraju, wzbogacając tak strasznie zdewastowane nasze biblioteki.

Osobny wreszcie dział naszego mienia kulturalnego stanowią archiwa. W myśl układów międzynarodowych i poglądów naukowej archiwistyki przy przydzielaniu archiwów poszczególnych państw powinna być ściśle przestrzegana zasada przynależności terytorialnej, tzn. że akty odnoszące się do danego terytorium winny znajdować się na nim. Otóż archiwa lwowskie, a zwłaszcza archiwum państwowe przechowuje dziś cały szereg archiwaliów, odnoszących się do terytoriów polskich i nieprzedstawiających dla ziem zabużańskich najmniejszej wartości. A więc przede wszystkim dawne księgi sądowe sprzed r. 1772: przemyskie, krośnieńskie, sanockie, przeworskie, grabowieckie; bezcenne źródła dla poznania życia obyczajowego naszych praojców. A dalej tzw. metryka jozefińska i franciszkańska z r. 1787 i 1820, pierwszy powszechny kataster byłej Galicji, w partiach odnoszących się do terytorium na zachód od dzisiejszej linii granicznej winny bezwarunkowo przypaść Polsce. Spodziewać się też winniśmy ich najrychlejszego powrotu.

Wrócą, da Bóg najrychlej, nieuszczuplone nasze zbiory do kraju i powstaje pytanie jak je rozdzielić między poszczególne miasta i biblioteki, tak strasznie okaleczone przez Niemców. Pod tym względem powinny nasze odpowiednie władze mieć z góry przygotowane linie wytyczne, winny wprost kierować poszczególne zbiory do miejsc ich przeznaczenia, aby uniknąć tak groźnej dla nich przeprowadzki i transportu. Powstaje pytanie, jak je na całym obszarze Polski porozmieszczać. A pamiętać trzeba, że podobnie jak ze Lwowa, oczekujemy powrotu naszych dóbr kulturalnych z Wilna i szeregu innych miejscowości. Wszystkie one powinny być objęte wielkim przemyślanym i uzgodnionym planem rozmieszczenia. Nie mam zamiaru go tu w całości przedstawiać. Jedną tylko chciałbym poruszyć zasadę naczelną. Zbiory wracające do kraju pod żadnym warunkiem nie powinny być rozbijane, ale w całości tak, jak przechowywane były przez stulecia, wejść w skład nowych jednostek bibliotecznych. Najogólniejsze wszakże postulaty nasuwają się same przez się. Kraków, którego zbiory dotychczas w najmniejszym procencie ucierpiały winien odpaść spod planów rozmieszczenia nowych nabytków. Na pierwszy natomiast plan pójdą te ośrodki kulturalne kraju, które najwięcej ucierpiały, lub które wogóle dotychczas bibliotek i książek polskich nie posiadały, tj. przede wszystkim ziemie odzyskane. Jeżeli dla zastąpienia spalonych starodruków Biblioteki Narodowej w Warszawie można by jej przekazać zbiory Baworowskich, uzupełnione ewentualnie drukami Galicjanów z Biblioteki Dzieduszyckich, to zbiory Ossolineum powinny w całości tak jak dotychczas były gromadzone i powrócą do nas, przypaść miastu polskiemu, które dziś pozbawione jest prawie książki polskiej, tj. Wrocławowi. Miasto, które dzwiga dziś z ruiny uniwersytet, które straciło (niemiecką choćby) bibliotekę uniwersytecką, miasto które jedyne na ziemiach odzyskanych posiada uniwersytet, zasługuje na to, aby otrzymać ten najcenniejszy dziś zbiór dorobku kulturalnego polskiego. Umieszczenie Ossolineum we Wrocławiu da możliwości pracy naukowej nad zespoleniem tego drugiego klejnotu ziem polskich, tj. dolnego Śląska z Macierzą. Dopiero rzuciwszy książkę polską na kresy zachodnie będziemy mo-

(Ciąg dalszy na str. 2-ej)

Perspektywa Odry

Zagadnienia demograficzne ziemi mazurskiej i warmińskiej należą do naczelnych zagadnień tej części naszych Ziem Odzyskanych. Mapka, którą reprodukujemy poniżej, potwierdza tragiczny stan ludnościowy tych ziem, o którym wspominaliśmy już w omówieniu wyników pierwszego powojennego spisu ludności w Polsce.

Źródła statystyczne niemieckie wykazują, że do ziem tych państwo niemieckie stale dopłacało. Nie inaczej będzie i u nas przez czas dłuższy, aczkolwiek ziemie te w naszej strukturze gospodarczej stanowić mogą oryginalną i potrzebną pozycję. Propaganda niemiecka, zarówno ta z okresu plebiscytu na Warmii i Mazurach, jak i owa sprzed minionej wojny, głosiła wobec Niemców i całego świata, że Polacy ze względu na wysoki koszt utrzymania tych ziem, nie będą mogli utrzymać ich na odpowiednim gospodarczym poziomie, nie mówiąc już o jego podnoszeniu. Ta sama propaganda działa dziś jeszcze i to niezawsze z ukrycia, fałszując obraz tych ziem w oczach Zachodu.

Tej propagandzie, nie znającej powojennych możliwości Polski, musimy się przeciwstawić z całą ostrością przez zaludnienie pustych po dziś dzień jeszcze obszarów byłych Prus Wschodnich, przez zagospodarowanie ich dłońmi człowieka polskiego. Niech dłonie te, ochraniające tu długie wieki wątły strumyk narodowej wiary, kształtują krajobraz, zabudowują przestrzenie, zaludniają warsztaty w pracy, a kościoły w modlitwie.

Bystry strumień płynący na Odzyskane Ziemie Zachodnie trzeba skierować nareszcie na północ, na ziemie warmińską i mazurską, gdzie praca i żywot zrazu będą mniej wdzięczne, dokąd woła nas jednak prócz nakazu gospodarczego nakaz polityczny. Niemcy twierdzą: „Polacy borykać się będą z tą ziemią, nie dla nich ona". Boryka się z ziemią tylko naród, który z ziemi tej nie wyrósł i który jej nie lubi. Tę świadomość utrwalić trzeba w narodzie polskim.

Spójrzmy na mapę. Mazury wołają o ludzi!

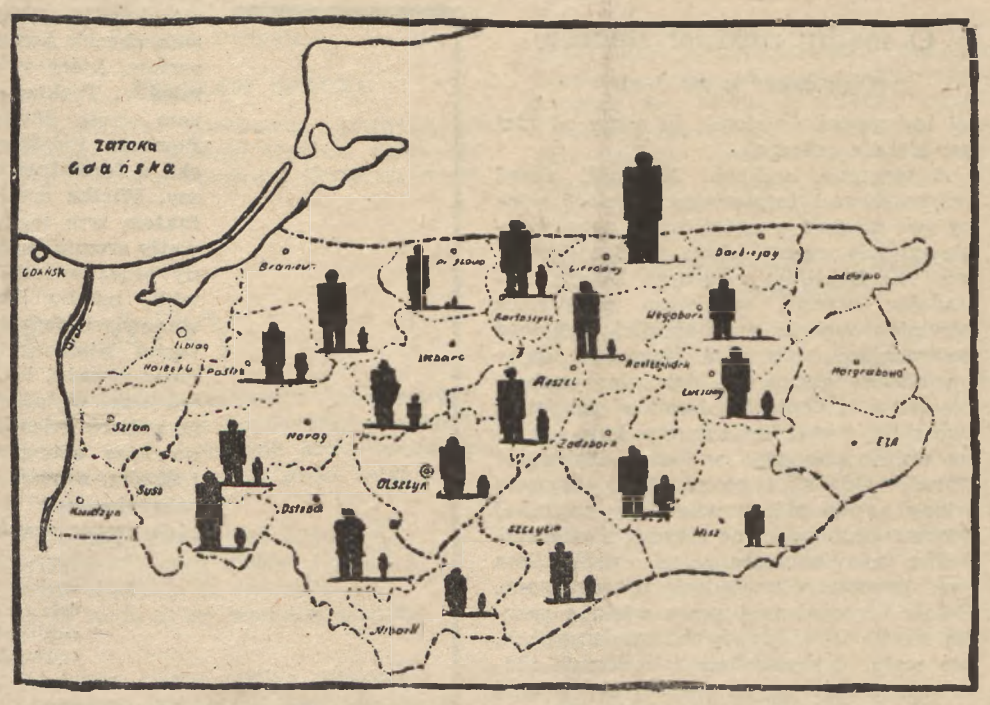

Mapka ilustruje stan ludnościowy w woj. olsztyńskim za czasów niemieckich (fig. większa) i polskich (fig. mała).

Biblioteka Instytutu Bałtyckiego

Stefania Mazurkówna

Instytucja najgorliwszej pracy

Szkolnictwo polskie na Śląsku Opolskim rozwija się z rozmachem właściwym strukturze psychicznej ziemi śląskiej i jej ludu. Sieć szkół, jaka powstała na tym terenie oraz duża ilość dzieci i młodzieży autochtonicznej jaka do nich uczęszcza — to dowód żywotnej siły drzemiącej głęboko w duszy polskiej ludu śląskiego. W krótkim stosunkowo czasie, mając ogromne trudności do pokonania, zorganizowano sieć szkolną, która gęstością swoją i rozmiarami równa się prawie byłemu Śląskowi wojewódzkiemu. Na podstawie kilku cyfr zilustruję obecny stan szkolnictwa na Śląsku Opolskim.

Zorganizowano: 362 przedszkoli, do których uczęszcza 22.486 dzieci, 842 szkoły powszechne, w których uczy się 133.441 dzieci i młodzieży, 38 zakładów szkół średnich, do których uczęszcza 7.954 młodzieży oraz dużą ilość szkół zawodowych, licznie obesłanych przez młodzież.

Ilość młodzieży autochtonicznej, uczęszczającej do szkół wiejskich wynosi, zwłaszcza w powiatach zamieszkałych przez tubylczą ludność polską: 90 — 100%. W miastach natomiast przeważa młodzież przesiedleńcza (40 — 70%).

Aby szkoła na Śląsku Opolskim stać się mogła kuźnią ducha polskiego nad Odrą, by przez nią nastąpić mogło zjednoczenie się z Macierzą, puścić musi silne korzenie w społeczność polską, ostałą na tej ziemi.

Śląsk pracujący przekazuje szkole polskiej wspaniałą tradycję pracy, uczy szanować i miłować tę pracę. Wartości takie jak obowiązkowość, silnie wyrobione poczucie odpowiedzialności, dokładność, systematyczność, cechujące Ślązaka w jego stosunku do pracy, szkoła pragnie pogłębić przez wychowanie i uczynić je zaletami ogólnopolskimi.

Jest to postulat niezwykle ważny, zwłaszcza w stosunku do młodzieży przesiedleńczej, która po silnych wstrząsach doznanych przez wyrwanie jej ze środowiska, w którym dotychczas żyła, wykazuje raczej bierny stosunek od pracy i obowiązków szkolnych. Różnice w nastawieniu do pracy młodzieży przesiedleńczej i śląskiej są dosyć rażące. Wychowawcy podkreślają na ogół pracowitość, obowiązkowość, staranność, systematyczność młodzieży śląskiej, natomiast stosunek młodzieży przesiedleńczej do pracy jest raczej niedokładny i powierzchowny. Jeśli zaś chodzi o dojrzałość życiową, to młodzież przesiedleńcza, zwłaszcza repatriancka, znacznie przewyższa młodzież autochtoniczną.

Polski Śląsk walczący przekazuje polskiej szkole tradycję postępu społecznego — wspaniałą ideę zasad demokratycznych, która w duchu braterstwa i miłości zjednoczyła wszystkich bojowników polskiej sprawy na Śląsku. Łączyła ich w długim bezustannym okresie trwania, kiedy ciążyło nad nimi jarzmo pruskiej niewoli, skuła ich w dziejowych chwilach czynu powstańczego, który starał się Śląsk uwolnić od obcej przemocy. W duchu tej tradycji wychowuje szkoła na Śląsku Opolskim młode pokolenie polskie. Na terenie szkoły w pierwszym rzędzie następuje zlanie się polskiego elementu z różnych stron Polski w jedną całość, tu się cementuje młoda Polska w jeden blok narodowy, by powstał Śląsk jeden, zjednoczony i Polska jedna, zjednoczona.

Polska kultura rodzima Śląska przekazuje polskiej szkole wartości moralne, które strzegła i wszczepiła w dusze młodych matka Górnoślązaczka. W nich tkwiło źródło siły duchowej jaką lud śląski wykazał w walce o wartości najcenniejsze, jakiemi były mowa ojczysta, religia, polska kultura rodzima. One stanowiły przeciwwagę w stosunku do potencjału cywilizacji niemieckiej, która silnie zagrażała elementowi polskiemu na Śląsku. I grozi w dalszym ciągu. W duszy narodu niemieckiego drzemie nadal pragnienie zemsty i odwetu w stosunku do Polski, nurtuje w dalszym ciągu marzenie o ekspansji kulturalnej i politycznej w Europie, dywersja niemiecka przez długie jeszcze lata działać może zwłaszcza na terenie Ziem Odzyskanych. Zadaniem szkoły polskiej na Śląsku Opolskim będzie przygotować pokolenie obrońców tej prastarej ziemi, strażników kultury i ducha polskiego nad Odrą. Czyni to, wychowując młodzież w duchu świadomej postawy moralnej, w oparciu o poczucie odpowiedzialności, tkwiące tak silnie w tradycji wychowawczej Śląska. Na nim przede wszystkim oprze się postawa aktywna oraz wewnętrzne pogotowie obronne, które pobudzi do zmagania się z elementem wrogim, bądź to w walce orężnej, bądź to w obronie wartości kultury rodzimej.

W oparciu o wartości rodzime, o spuściznę duchową poprzednich pokoleń odbywa się proces repolonizacji. Moment ten akcentuje szkoła polska w stosunku do młodzieży autochtonicznej, która ulegała wpływom wychowania narodowo-socjalistycznego, poznała przeszłość narodu polskiego oraz dzieje jego kultury w fałszywym świetle. Proces przeobrażenia w duchu polskim prowadzi poprzez poznawanie i pogłębianie kultury regionalnej. Szkoła polska odnosi się do niej z szacunkiem i uwzględnia momenty regionalne w programach nauczania i wychowania. Gwara stanowi często punkt wyjścia nauki języka polskiego. Nauczyciel przyjmuje odpowiedzi uczniów w gwarze, poprawiając jedynie germanizmy i dopiero stopniowo wprowadza uczniów w dialekt kulturalny. Folklor śląski, tańce regionalne, obchody moika, Marzanny, wprowadzono przez niektóre ze szkół na Śląsku Opolskim w program zajęć świetlicowych. Zgodnie z tradycją muzyczną Śląska zwrócono szczególną uwagę na naukę śpiewu. Wprowadzono ją jako przedmiot obowiązkowy we wszystkich typach szkół. Młodzież śpiewa chętnie i dużo ku wielkiemu zadowoleniu starszego społeczeństwa, które żywi kult dla pieśni polskiej. Specyficzne warunki, jakie posiada struktura regionu śląskiego i ludu jego oraz potrzeba możliwie szybkiego zasymilowania młodzieży przesiedleńczej, która tu przybywa z różnych terenów Polski, wymagały wprowadzenia odchyleń programowych w nauce języka polskiego i historii. Odchylenia te uwzględniają fragmenty z piśmiennictwa polskiego, momenty z kultury i historii, związane z polską przeszłością Śląska, oraz takie fakty i zagadnienia, które w fałszywym świetle pseudo nauki niemieckiej wymagają sprostowania w obiektywnym duchu polskim.

Wspomnieć tu należy również o roli, jaką dobrze zorganizowane zajęcia świetlicowe na terenie szkoły odgrywają w procesie repolonizacji. Mają one przede wszystkim na celu związać młodzież zwłaszcza autochtoniczną z pewnymi postaciami, oraz momentami z dziejów kultury Polski. Ujęte w artystyczną szatę scenek, obrazów, deklamacyj, dają młodzieży bogactwo przeżyć, pogłębiają jej łączność z kulturą polską oraz kształtują jej poczucie formy i piękna w duchu polskim. Pieśni, deklamacje, tańce, inscenizacje, teatrzyki kukiełkowe — to imprezy produkowane nie tylko w ciasnych ramach szkoły, ale wyrastające poza nią. Czym szkoła polska stała się dla Śląska Opolskiego, niech świadczy powiedzenie ogólnie przyjęte na Śląsku Opolskim „gdzie niema szkoły polskiej, tam niema Polski".

Poznanie i pogłębianie kultury regionalnej to jedna z dróg, mająca prowadzić do celu głównego szkoły polskiej, jakim jest zjednoczenie Śląska z duchem kultury polskiej, związanie go z narodem i z ziemią polską. Cel ten zakrojony na daleką metę realizuje szkoła polska na Śląsku Opolskim różnymi sposobami. Wspomnę tu o jednym, który dał wspaniałe rezultaty, a mianowicie: zorganizowanie kursu repolonizacyjnego dla wychowawczyń przedszkoli, pochodzących ze Śląska Opolskiego na terenie Rabki i Krakowa. Zadaniem tego kursu było poza pogłębieniem wiadomości w zakresie języka i kultury polskiej zapoznanie młodych Opolanek z pięknem ziemi polskiej, zbliżenie ich z rodakami innej dzielnicy, oraz związanie ich trwale z ziemią i narodem polskim. Program nauczania, atmosfera pracy, różne imprezy i wycieczki podporządkowano temu celowi. Kurs ten zakończono kilkudniowym pobytem w Krakowie, w czasie którego uczestniczki poznały stary Kraków z wspaniałymi zabytkami i cennymi klejnotami kultury polskiej. Pobyt w Krakowie i Rabce dokonał wspaniałych przeobrażeń w duszach młodych wychowawczyń. Świadczą o tym przede wszystkim listy, jakie otrzymały od nich nie tylko Ministerstwo Oświaty i Kuratorium Szkolne, ale również rodziny oraz znajomi mieszkający na Śląsku Opolskim. Cytuję wyjątki z ich listów: „Po tych dwóch miesiącach wrócimy na nasze stanowiska umocnione na duchu i ciele. Będziemy gorliwie pracować nad wychowaniem naszych najmłodszych, aby w przyszłości byli pożytecznymi synami Ojczyzny." „Wrócimy do domu pełne sił i ochoty do pracy, napełnione uczuciem patriotycznym. Będziemy się starały wychować najmłodszych na dobrych obywateli Ojczyzny." „Pobyt w Rabce będziemy zawsze miło wspominać, a zwłaszcza tych, którzy ten kurs urządzili i umożliwili nam pobyt w tej pięknej okolicy naszej Macierzy." Młode Opolanki wrócą na Śląsk Opolski jako szermierki ducha polskiego. Obecnie odbywa się w Rabce drugi kurs dla wychowawczyń przedszkoli ze Śląska Opolskiego.

Niezmiernie ważną rolę spełnia szkoła polska na Śląsku Opolskim również w stosunku do starszego społeczeństwa. W chwilach tak ciężkich dla autochtonów szkoła polska stała się czynnikiem doradczym społeczeństwa starszego, udziela poparcia moralnego i pomocy, której często znikąd nie otrzymuje. Świadoma swej roli w procesie repolonizacyjnym ludu śląskiego pragnie ona przede wszystkim przekształcać i przeobrażać oblicze życia rodzinnego zwłaszcza w miastach, które najsilniej ulegały wpływom germanizacji. Zadania te pełni głównie przez organizowanie komitetów rodzicielskich, które obecnie już istnieją przy wszystkich prawie szkołach i przedszkolach. Współdziałanie komitetów rodzicielskich ze szkołą ogromnie zbliżyło społeczeństwo ze szkołą. Działalność komitetów rodzicielskich ogranicza się nie tylko do spraw natury utylitarnej, jak dożywianie młodzieży, remonty szkół itd. Nastąpiło naogół związanie rodziców z życiem szkoły. Rodzice uczestniczą w uroczystościach szkolnych, obchodach, świetlicach.

W miłym trudzie wiązania Śląska z Macierzą poprzez szkołę, najwyższe uznanie należy się nauczycielowi polskiemu na Śląsku Opolskim. Świadomy zadań wielkich i odpowiedzialnych jakie tu spełnić musi szkoła reprezentuje on godnie sprawy polskie na Ziemiach Odzyskanych. Wrasta w ziemię, wrasta w nią sercem i duszą, zespala się z ludem śląskim i jest wiernym jego obrońcą. Rozumiejąc, że pracą swoją i godną postawą służy sprawie wielkiej, nie szczędzi ofiar, trudów i wyrzeczeń, by uczestniczyć w wielkim akcie tworzenia Polski Nadodrzańskiej.

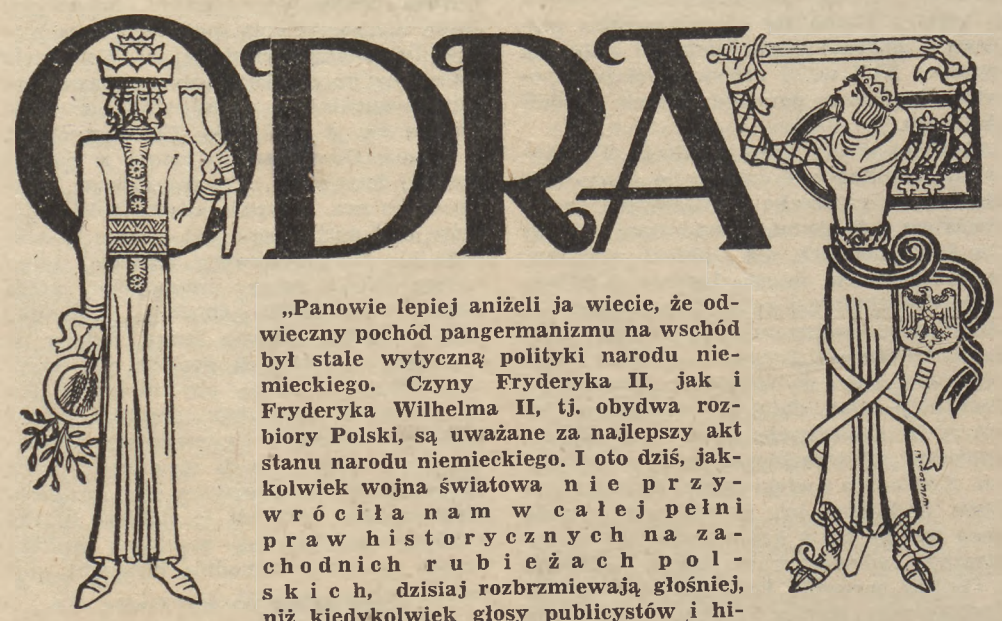

„Panowie lepiej aniżeli ja wiecie, że odwieczny pochód pangermanizmu na wschód był stale wytyczną polityki narodu niemieckiego. Czyny Fryderyka II, jak i Fryderyka Wilhelma II, tj. obydwa rozbiory Polski, są uważane za najlepszy akt stanu narodu niemieckiego. I oto dziś, jakkolwiek wojna światowa nie przywróciła nam w całej pełni praw historycznych na zachodnich rubieżach polskich, dzisiaj rozbrzmiewają głośniej, niż kiedykolwiek głosy publicystów i historyków niemieckich, stwierdzające, że stan obecny jest niesprawiedliwym prowizorium, które w przyszłości usunięte być musi... Traktat wersalski odebrał Niemcom część dawnych Prus Królewskich, Pomorza Polskiego, nasz korytarz gdański, a formalnie oderwał Gdańsk od Rzeszy. Wielka część narodu niemieckiego z faktem tym nie chce się pogodzić. Nasz wątły zresztą dostęp do morza jest uważany przez wszech Niemców, za żywy pal, wbity między Marchię i Prusy Książęce, stanowiące podstawę potęgi pruskiej. Odebrane Niemcom części Górnego Śląska mącą również ich uczucia narodowe... To też liczyć się należy z naszej strony z tym, że miliony Niemców myślą obecnie o ponownym oderwaniu od Polski Pomorza i Śląska, a później planować będą „dalsze zabezpieczenie" i „poprawienie" wschodnich granic pruskich."

(Z przemówienia Generała Sikorskiego, wygłoszonego na Rataszu w Poznaniu w dniu 10. IV. 1923 r. Przedruk za konspiracyjnymi „Ziemiami Zachodnimi Rzeczypospolitej" z lipca 1943 r.).

O mądry rozdział zbiorów

(Ciąg dalszy ze str. 1-ej)

gli być pewni, że ziemie te nigdy od niej już się nie odłączą.

A wreszcie archiwa. W myśl zasad przynależności terytorialnej znaleźć winny swe miejsce w najbliższym geograficznie mieście wojewódzkim, a więc Rzeszowie lub Lublinie; zwłaszcza Lublin, posiadając obecnie archiwum państwowe powinien narazie przynajmniej wchłonąć powracające archiwalia lwowskie, dając im odrazu gwarancje należytego zabezpieczenia i opieki. Drobne biblioteki lwowskie można by skierować do ośrodka uniwersyteckiego w Łodzi. Natomiast Toruń, Gdańsk i ewentualnie Szczecin winny zasilić zbiory wileńskie, najściślej geograficznie związane z tymi terytoriami. Jedna tylko naczelna zasada, podkreślam raz jeszcze, winna być przestrzegana. Całości gromadzonej przez wieki z pewną myślą i w pewnych zamierzeniach, nie wolno lekkomyślnie i bezkarnie rozrywać. Zemści się to prędzej czy później na samych autorach tych prób. Caveant consules!

Józef Modrzejewski

U źródeł polskich tradycji morskich

W momencie zenitu powodzenia niemieckiego oręża na lądzie i na morzu ukazała się charakterystyczna publikacja p. t. „Deutsche Seekriegsgeschichte", której dwaj głośni autorowie F. Busch i Rammlow wzięli na swe barki naprawdę nadzwyczajny trud przedstawienia tysiącletnich walk narodu „wybranych" na szlakach morskich. Cel publikacji wydawał się jasny. Największa potęga morska świata — chwiała się. Wypadało by się przygotować do godnego zastąpienia dumnych tradycji brytyjskich niemieckimi wobec całego świata.

KTO JEST PIONIEREM ŻEGLUGI NA BAŁTYKU

Dużą, choć mimowolną, przysługę Niemcom uczynił Stefan Żeromski swoim „Wiatrem od morza". Ten zbiór polskich sag umieszcza ośrodek polskiej ekspansji morskiej około ujścia Wisły. Element polski jest tu przesiąknięty, mimo zajęć rybackich i bliskiej styczności z morzem, wyraźnie atawizmem lądowym, walczy jedynie w poczuciu podświadomego, instynktownego pędu narodowego o samo wybrzeże. Po tym morzu, o które się ociera, pływają jedynie korabie normandzkie, które niosą zniszczenie i śmierć osadom nadmorskim.

Wprawdzie w drugiej sadze Żeromski daje wizje wysp i portów ujścia Odry, ale jest to dalekie, mgliste i niazwiązane z Polską. Panowie Busch i Rammlow chcieliby ten pogląd przyjąć w całej rozciągłości, ale muszą objaśnić czytelników co do nowych odkryć nauki niemieckiej. Podają więc najpierw wiadomość, że w wyprawie Horsy i Hengista do Anglii w V wieku po Chr. wzięli udział obok Anglów i Sasów także Słowianie. Wyprawa ta zresztą wyrusza z wybrzeży morza Północnego.

Jest to więc cały wiek przed ekspansją morską Normanów. Słowianie pływają więc na statkach jako towarzysze doświadczonych żeglarzy germańskich i to poza Bałtykiem. A co się dzieje na samym Bałtyku?

Busch i Rammlow przechodzą od razu do sprawy grodu normandzkiego Jomsborg. Z dumą podkreślają ostateczne zlokalizowanie owej siczy na wyspie Rugii, a nie na Wołyniu, jak dotąd przypuszczano.

Z mniejszą dumą dodają, że jednak Jomsborg był uzależniony od Polski pierwszych Piastów. Dla zmniejszenia tego efektu zaraz snują rozważania na temat germańskiego pochodzenia mieszkańców Rugii, utożsamiają Heimdala ze Swantewitem i czynią przypuszczenia co do zależności bogatej Arkony od rycerzy normandzkich.

Dla polskiego czytelnika sprawa wydaje się mniej skomplikowana. Panowanie Chrobrego (raczej chyba Mieszka I, bo Niemcy wspominają o roku 980) na Rugii dowodzi o tym, że ujście Odry znajdowało się w twardych rękach polskich. W ten sposób zrozumiałe staje się bogactwo i wielkość portów na Wołyniu Szczecina i w Arkonie. Bezpośrednia łączność z Polską dostarczała możliwości sprowadzania wielkich ilości płodów rolnych na eksport i przekazywania Polsce równie wielkich ilości produktów importu ze Skandynawii.

Czy Jomsborg był forpocztą germańską i nauczycielem żeglugi u Pomorzan? Obaj autorowie niemieccy powinni zwrócić uwagę na fakt, że oręż rycerzy normandzkich nigdy nie obracał się przeciw Słowianom, a przeciwnie gromił rodaków (bitwa w Oerosund i na wybrzeżach Skanu). Jomsborczycy zginęli od napadu germańskich Danów jako obrońcy Rugii ramię przy ramieniu z Ranami i Obotrytami.

Jaką jednak rolę nadać grodowi i flocie rycerzy normandzkich? Przypuszczam, że w żadnym razie nie taką, jaką odegrał później Gdańsk w stosunku do Polski jagiellońskiej. Na podstawie dotychczasowych danych w postaci przekazów sag i wykopalisk można mówić o dwóch możliwościach. Albo wezwano jomsborczyków ze strony bogatych kupców Arkony dla obrony portów na Rugii, albo weszli na służbę Chrobrego jako polska drużyna morska dla utrzymywania jego władztwa w zatoce szczecińskiej i na Bałtyku przeciw Danom i Szwedom.

Jest rzeczą charakterystyczną, że zburzenie Jomsborga zostało dokonane po zabójstwie duńskiego księcia Ulfa, który tu przybył niewątpliwie z propozycjami zdrady. Historyczność Ulfa stwierdza Kamień runiczny z jego mianem wydobyty z dna morskiego.

Jomsborczycy byli tylko żeglarzami wojennymi, handlowa żegluga nie zajmowała ich. Na pokładach ich okrętów - łodzi musiało znajdować się niemało ochotników słowiańskich, skoro niedługo po wycięciu drużyny wystąpili samodzielnie bojownicy morscy złożeni z Ranów i Obotrytów.

Możemy więc przypuszczać, że pierwszymi żeglarzami na Bałtyku byli mieszkańcy ujścia Odry, którzy zajmowali się pośrednictwem pomiędzy Polską a Skandynawią z jednej strony, a z drugiej wymianą pomiędzy zachodnią Europą a wschodnią (Raróg późniejsze Haithabu i Schleswig a Nowogród). Wobec związków normandzkich i organizacji wojennych flot od VI wieku musieli wezwać jedną z obcych grup dla reorganizacji swych flot i przystosowaniem ich do celów walki. Sam sens i istnienie żeglugi jest zależne od Polski, która w latach wyprzedzających połowę X wieku, jednoczy plemiona pomorskie od Rugii do zatoki Gdańskiej oraz zabezpiecza je od lądowej ekspansji niemieckiej i morskiej inwazji Normanów (Jomsbork).

Dzięki więc panom F. O. Buschowi i dr. Rammlowowi znaleźliśmy źródło tradycji morskich, których daremnie szukaliśmy u ujścia Wisły, z natury i układu politycznego wówczas drugorzędnego.

A TERAZ ZAPOMNIANE DZIEŁO POLSKIE...

W r. 1873 wyszło w Poznaniu dzieło Wilhelma Bogusławskiego p. t. „Dzieje Słowiańszczyzny północno - zachodniej". Autor z niezwykłą systematycznością i drobiazgowością wybrał i posegregował fakty, związane z walką Słowian z zalewami germańskimi. Szukał w kronikach skandynawskich i niemieckich, pomijał niejasne mu sagi jako zbyt dowolne ukształtowanie wypadków.

Bogusławski nie znał rewelacji „Deutsche Seekriegsgeschichte", więc mówił ostrożnie o łączności działań pomorsko-rańskich z polską polityką piastowską. Czterotomowe to dzieło uległo wprędce zapomnieniu.

Zainteresowałem się nim przypadkowo skutkiem inspiracji prof. dr. R. Pollaka i stanąłem zdumiony wobec ogromu materiału i jego wszechstronności. Żmudne wyławianie przyczynków do wojen morskich mieszkańców ujścia Odry dało mi niezwykle pasjonujący i plastyczny obraz żeglugi na Bałtyku w średniowieczu.

PRAWDA O PRZEWAGACH NORMANDZKICH NA BAŁTYKU

„Deutsche Seekriegsgeschichte" starają się przedstawić najdawniejszy okres wojen morskich w średniowieczu jako ciąg przewag flot normandzkich na wszystkich morzach. My ze swej strony zrobimy tutaj tylko jedno zastrzeżenie: z wyjątkiem Bałtyku.

Normanowie nie śmieją tu sami atakować choć zdobywają kraje i lądy o setki i tysiące mil od swoich podstaw. Pierwsza ich akcja kieruje się na port Raróg (południowa Jutlandia) na skutek inicjatywy Odroujścian (niewątpliwie rywalizacja handlowa) i następnie w ramach współdziałania (808 rok). Potężny odwet Obotrytów siedem lat później na Fionię powoduje wyrzeczenie się dalszych napadów.

W następstwie sukcesów normandzkich poza Bałtykiem i na Rusi morskie ludy słowiańskie tworzą koalicję skierowaną przeciw Danii i Szwecji. Miarą powodzeń czy niepowodzeń będzie odtąd jedność tej koalicji i jej związki z Polską.

Głównym bastionem morskim słowian zachodnich jest Rugia — bałtycka Malta, ze szczepem bitnych Ranów. Ona rozpocznie jako jedyna w Europie ofenzywę morską przeciw Normanom i to już od IX wieku. Pomagać jej będą Obotryci i Pomorzanie. Walka zwycięska potrwa do połowy XII wieku t. zn. do chwili wewnętrznego rozłamu (książęta przeciw kapłanom Swantewita) i osłabienia związków z rozpadającą się na dzielnice Polską.

Upadek Arkony nie przesądza o znaczeniu Rugii jako bastionu morskiego. Decyduje on jedynie o zmianie sojuszników. Dzięki niezwyciężonej flocie rańskiej Danowie uzyskują przewagę na Bałtyku i zmuszają do hołdu zarówno książąt zachodnio-pomorskich jak i wschodnich. Udział Rugii jest tutaj znaczny. Nie możemy zapominać, że pierwsze powołanie Krzyżaków do Gdańska w 1301 r. przez Wacława zostało dokonane w obawie przed eskadrami morskimi księcia Wisława rańskiego.

Podstawy potęgi morskiej mieszkańców ujścia Odry — według Bogusławskiego — leżą w olbrzymich liczebnie eskadrach okrętów - łodzi (Saxo Gramatyk wspomina o 1500 jednostkach przepływających cieśniny duńskie), w oryginalnej własnej taktyce, która stosuje desanty dywersyjne i prewencyjne, we wprowadzeniu koni na okręty, dzięki czemu desant może szybko zniszczyć całe zaplecze wysp duńskich, wreszcie w świetnym wyszkoleniu załóg i doskonałych dowódcach jak rański Jochel i pomorski Racibor (brat Wartysława a kuzyn Krzywoustego) zwany ówcześnie „królem morskim".

Na Bałtyku więc panują żeglarze słowiańscy, choć na innych morzach obserwujemy przewagi normandzkie. Ciekawe, że bitni i zdobywczy synowie Skandynawii, właśnie na wodach ojczystych mają tak mało do powiedzenia.

Stanowczo za tym panowie Busch i Rammlow powinni dodać zastrzeżenie do przewag normandzkich, że dotyczą one wszystkich mórz z wyjątkiem zachodniego i środkowego Bałtyku.

PROBLEM SPADKU

Publikacja niemiecka przeprowadza bezwzględną aneksję tradycji normandzkich na rzecz Niemiec. Czytelnik w dotychczasowych rozważaniach widzi u mnie tą samą skłonność w stosunku do plemion zachodnio-słowiańskich. Sprawa ta wymaga więc wyjaśnień.

Jest rzeczą charakterystyczną, że wielkie państwa średniowieczne operują przede wszystkim siłami lądowymi, nie interesując się bliżej morzem. Stąd żeglugę uprawiają tylko plemiona nadmorskie i to w ciasnym naogół zakresie. Z pośród plemion germańskich związanych z Cesarstwem niemieckim krwią i założeniami politycznymi a uprawiającymi żeglugę, można wymienić chyba Sasów. Natomiast ludy normandzkie pomimo wspólnoty rasowej, nie mają z cesarstwem żadnych wspólnych celów, a raczej wiele celów przeciwnych. Pierwszy występ normański na morzu Północnym to poparcie Obotrytów w akcji przeciw Hamburgowi (IX wiek). Danowie wprawdzie dążą do podbicia Słowian i uzupełniają ofenzywę niemiecką ze strony morza, ale czynią to sporadycznie i w istocie są stanowczymi przeciwnikami niemieckiego usadowienia się nad Bałtykiem. Przez całą drugą połowę średniowiecza Danowie będą zaciekle walczyć z Hanzą i zostaną zawsze przeciwnikami hanzeatyckiego „wolnego miasta Gdańska". Stosunki polsko-pomorsko-rańskie wyglądają na pozór podobnie. W Polsce panuje wielka nienawiść w stosunku do krętackich współplemieńców i toczą się przeciw nim zaciekłe wojny, ale zasadnicze tory polityki zagranicznej i wojskowej są te same w Polsce i nad ujściem Odry.

Handel morski Polski jest możliwy tylko dzięki portom i flotom pomorsko-rańskim. Obrona Polski przed inwazją normandzką jest możliwa tylko dzięki potężnym eskadrom wojennym Słowian na Bałtyku. Obrona niezależności ludów nadmorskich od naporu niemieckiego zależy od polskiej armii lądowej.

Królowie polscy udzielają zezwolenia flotom wasali na niszczenie konkurencyjnych portów szwedzkich (Kongela i Birka), duńskich (Szleswig i wyspy) i niemieckich (Lubeka). Wiedzą bowiem, że jedynie bogactwa portów własnych umożliwia utrzymanie sił wojennych. Momentem nieporozumień jest jedynie fakt, że mieszkańcy wybrzeża chcą korzystać w pełni z pośrednictwa, podczas gdy władcy Polski domagają się swoich udziałów. Dalej, chrześcijaństwo Polski przeszkadza kapłanom pogańskim w Szczecinie i w Arkonie w zbieraniu potężnych fortun finansowych od pielgrzymów. W Arkonie np. gdy kapłani musieli wydać skarby świątyni, okazało się, że do ich przewiezienia potrzeba całej flotylli. Złoto i kosztowności zajmowały 7 skrzyń. Kapłani byli więc inspiratorami kroków wojennych Pomorzan przeciw Polsce i podburzali łatwozapalne umysły przesadzonymi opowieściami.

Sądzę, że te momenty nie mają dzielić naturalnej wspólnoty Polski z plemionami ujścia Odry.

Dlatego nie wydaje się słuszne pomijać dłużej wezwania dociekliwego współpracownika encyklopedii powszechnej Orgelbranda, który 80 lat w chwilach ciężkich zapasów powstańczych, wezwał do przejęcia tradycji morskich Odryujścia jako uzasadnionego spadku po ludach bratnich, które już wyginęły.

ROLA PUBLIKACJI P. P. BUSCHA I RAMMLOWA

Kiedy zjawiliśmy się ponownie u ujścia Odry, upajaliśmy się sprawiedliwością dziejową. Później zachwycaliśmy się pięknymi miastami nadmorskimi, które potrafiły trafić nam do serca wbrew zewnętrznym, obcym formom. Obecnie zastanawiamy się nad skierowaniem na linię Odry naszego handlu morskiego i uczynieniem ze Szczecina głównego ośrodka przeładunku portowego. W najbliższej przyszłości zbierzemy zapomniane tradycje morskie, aby dodać zapału pracownikom wielkiej polskiej ekspansji morskiej u ujścia Odry.

Za zwrócenie uwagi na źródła tych tradycji składamy p.p. Buschowi i Rammlowowi podziękowanie.

Paweł Kubisz

NA BARYKADY

Na barykady, szaleńcy wstawać!
Dzień jest straszliwy — a jutro grobem...
Krzywdą was wołam, ja ludzka sprawa,
Dzwonię do marszu, dzwonią okowy!

Śmierć odegrano nam dziś i wczoraj,
Posiano łany w cudzy urodzaj!
Tak opuszczony z klęską się porać
Wybieram dzisiaj w noc — bunt — na [wodza!

Gdzieś się jęk błąka z pruskich szubienic,
I topór kata korbę przekręca —
Dwadzieściacztery trupy w Cieszynie
Z lnianych powrozów na ziemię strącam!

I głów pięćdziesiąt tam w Katowicach,
Ściętych toporem na świadków wołam!
Ścieka słów strasznych krew-błyskawica,
A świtu niema — los pędzi koła!

Na furach trupy... to Żywocice,
Wy polskie trupy o nów, swobodę!
Ręka wskazuje tu Ostrawicę,
Pieśń moja syczy wolności głodem!

Do buntu ciągnę ciężkie ramiona,
Chrzęszczą jak zbroja kości sterane —
Nie chcę, nie mogę umrzeć i konać
Tutaj za Olzą! Chcę wstać — czy wstanę?!

Antoni Gołubiew

Dymy nad puszczą

Dzień *) był pogodny i bezwietrzny. Wysokie jodły zamarły. Drwale w krótkich półkożuszkach rozsiedli się na szczycie wzgórza nieopodal stosu. Stos był ułożony z tramów jodłowych, które kładli wzdłuż i wpoprzek, szpary założyli chróstem, wyleli nań dwie beczki smoły. Od tygodnia czekali, nikt nie przybywał, nie kazał rozpalać. Jedli suszone mięso, popijali wodę, wysypiali się, płużyli się w lenistwie. Gwarzyli półgłosem, słuchali jak las szumi.

Dziesiątego dnia doszedł ich odgłos konia. Poderwali się. Garłacz ujął przygotowany pęk smolnego łuczywa, kiwając się zlekka na krzywych nogach, wyciągnął głowę, czekał. Któryś szepnął:

— Od księdza...

Już widać było — i konia i jeźdźca. Koń był czarny, jeździec ubrany w skórzany kubrak, na piersi mu dyndał złoty łańcuch. Wielmoża! Przy ruchu ramion widać było szkarłatne podbicie płaszcza. Garłacz odwrócił głowę do swej drwalej drużyny, zachrypiał:

— Wojewoda!... — gęby zdumione i ciekawe: taki to goniec od księdza. Mimowoli spojrzeli na stos, złote krople żywicy skrzyły się w słońcu.

Szczyt wzgórza był połogi i goły, Stojgniew puścił konia pędem. Doleciał zdarł wierzchowca, zeskoczył. Patrzyli nań chciwie. Miał twarz szeroką, wielki nos, długą bliznę na gębie. Nie rzekł słowa, tylko rękę wyciągnął. Garłacz podał łuczywo i wskazał ognisko.

Milczenie pod drzemiącemi obłokami. Wojewoda rozpalił łuczywo, dudniącym krokiem zbliżył się do stosu. Rozejrzał się: daleki płaski kraj siniał, czerniał, zieleniał, falował. Drwale stali zbitą kupą, nie odrywali od wojewody urzeczonych oczu.

Stojgniew wyciągnął rękę z płonącą pochodnią i naraz krzyknął temu cichemu u jego stóp krajowi:

— Wici, wici! Ejże! Wszystkie męże zbrojne, pancerni a szczytowniki, toporniki a łuczniki do grodów! Wszystkie ludzie wolne, za broń! Za topory, za sulice i maczugi. Na Niemce! Bić psich chwostów! Eeeej! Wola księdza!

Przyłożył pochodnie do stosu w miejscu, gdzie był zebrany susz zlany smołą. Poczerwieniał, oddychał szybko. Cisnął wkońcu z pasją łuczywo.

Płomień parskał, sunął po tramach, wciskał się w szczeliny, piął się wgórę, oddychał gęstymi kłębami czarnego dymu. Długie pasma łączyły się, skupiały, snuły się w niebo wysokim czarnym słupem.

W głębokiem milczeniu patrzyli na cichy rozległy kraj, Jakby wymarły kraj, jakby ludzi w nim nie uświadczysz. Aż nagle, haj! z między lasów i wzgórzy wypłynęła smużka dymu — cienka i nikła w tej dali. A zaraz potem z lewa... i jeszcze dalej... — las sosen dymnych wyrósł nad puszczą.

Stojgniew odwiązał konia, skoczył na siodło, wolno jął zjeżdżać ze wzgórza.

* * *

Grodzidzierżcą Wiślicy był Czmiel — mały, gruby, burczący. Nad ranem wrócił z łowów, potem jeszcze jedli i pili, znużony zwalił się na barłóg. Czkał przez sen. Gdy poczuł, że go ktoś trzęsie, nim oczy otworzył, już burczał. Nie pomagało. Podniósł ciężkie powieki, to Wyrko go trząsł. Siadł odrazu, wściekły, opierał się obu rękoma za sobą. Warknął:

— Pójdzież won, ścierwo...

— Słup dymu widać od Orczycy.

Poderwał się jednym susem. Dym? W pośpiechu nogi gacił. Krzyczał:

— Żwawo, żwawo, psie krwie! Stos na Orlej górze wraz palić. Cały dzień palić i noc. W rogi dąć, psie krwie... niechże dwóch baczy z wieży. Wrota zawrzeć. Wraz! Kto tu nogi ma dobre: wici słać ze znakiem księżym przez opole. Żwawo... — nie uwiązawszy dobrze skórzni, wyleciał na dwór. Róg chrypiał z wieży przeciągłym basem. Poruszenie było w grodzie, ludzie nie szli — biegali. Czmiel żwawo wdrapał się po drabinie, spojrzał w stronę Orczycy: daleka smuga dymu płynęła w niebo.

— Wielka wojna — burknął Czmiel, z niemniejszym pośpiechem złaził z drabiny.

Zatrząsł się gród i opole. Już i nad Orlą górą wyrosła w niebo czarna sosna dymu.

* * *

Przybysław wszystkie te lata żył u swych krewniaków Nagodziców. Siadywał na przyzbie, twarz wystawiał na słońce, dawno już przestał wspominać dni, gdy — za Mieszki jeszcze — był pierwszym wojem w księstwie; i jak z bratem Odylenem stanął przeciw Bolkowi po stronie Ody i jej synów; Odylen dawno już ziemię gryzie a on wystawia czerwone jamy oczne na blask słońca i słucha życia.

Tego dnia słyszał ruch i bieganie. Dalekie krzyki. Tupot koni. Pacholę, które mu słożyło, gdziesik się zapodziało. Czekał cierpliwie — nauczył się cierpliwości.

Czerwone jamy oczne wystawił na blask słońca, ale z oczodołów kapały mu w duszę tylko czarne krople ciemności. Jakże to było?

Obłoki całkiem białe, świecące, krągłe, niby jeziora leśne; brzegi lamowane światłem. Niżej gałęzie krzów — leszczyna, wilcza jagoda. Liście ledwo co drżą. Trawa łaskocze policzki, pachnie, giezło paruje, schnie. A skądś, zdala zrywa się dziki wrzask:

— ...nastojcie!

A później życie, jak czarny staw. U Nagodziców, krewniaków. Siadywanie na przyzbie i wystawianie twarzy na słońce. Gdzie ciepło, tam jest słońce.

Czarny staw ciemności. Nic już nie czeka go — Przybysława. Gnije powoli, jak pień złamany burzą.

Słońce lubo w twarz grzeje, czarnymi kroplami sączy się w duszę.

I nie słyszy się nic — krom wyganiania źrebców i jazgotu bab. Czasem gadek wojackich, gdy mężczyźni wrócą od księdza.

Od Bolka! Psia mać!

Tego dnia usłyszał ruch i bieganie, tupot koni i szczęk. Słuchał. Pacholik kajś się zapodział. Ślepiec mamlał bezsilnie wargami. Słuchał gwałtownej wrzawy, zna tę wrzawę. Coś mu się w duszy budziło — złote skry na czarnym stawie.

Tupot koni i szczęk żelaza. Urywane krzyki. Klątwy. Zna to!

Ale dawniej nie słyczał tego, widział to.

Coraz szybciej dyszy Przybysław, budzi się.

Usłyszał kroki blisko siebie, zakrzyknął naraz swym dawnym dzikim krzykiem:

— Co tam? Wyprawa?

Zadyszany szept pacholika:

— Dymy widać nad lasem. Dymy.

— Dymy? — powtórzył ślepiec. Powstał — olbrzymi chudy kościej. Chwiał się. Dymy? Pomni to: słupy dymów i pośpiech i wyjazd i obóz i wojna. Dymy. Odetchnął z głębi piersi, twarzą obracał na boki, węszył. Jakby czuł zapach dalekich puszcz i dymu i krwi. Ochrypłym basem szepnął:

— Przynieś mój topór — a gdy nie usłyszał tupotu nóg pacholika, powtórzył wzbierającem rozdrażnieniem:

— Topór.

Czekał, stojąc. Wciąż nozdrza się mu rozdymały, jakby dal wąchał. Gdy przyniesiono topór, ujął trzon, lewą ręką zmacał ostrze. Machnął toporem. Czuł: dość już onego gnicia z twarzą zwróconą na czerń słońca. Raz jeszcze... Słupy dymów nad puszczą.

— Wołaj mi Nagodzica — otrok pobiegł.

Nie czekał. Z toporem w garści szedł chwiejącym się krokiem na ów wrzask, na koński tupot, na swą obudzoną przeszłość — na wielką wojnę, którą wołały dymy nad puszczą.

* * *

Ksieniec mało ziemię ruszał, żył — jak i sąsiedzi — głównie z krów a owieczek i ze świń; buczyny a żołędzi było w okolicy tyle, że grabiami zbierali je w kupy; nadrzeczne łęgi dawały stogi siana. Ksieniec był zamożny, synowie weseli, niczego im nie brakło.

Zdarzyło się, że stary Ksieniec ze Zwojem powiózł daninę do grodu — mięso wędzone, owcze skóry na kożuchy i miód. Wit ciosał nowe jarzmo na wołu i gwizdał. Opodal kulali się w piasku bratańce. Starszy podszedł do stryja, wypiął brzuch, spoglądał na robotę. Wkońcu spytał:

— Co styj łobi?

— Gwiżdżę.

— Jak gwizdze?

— Jak drozd.

— Kto to dłozd?

— Ptak.

— A ogon ptak ma?

— Ma.

Przed dom wyszła Malina z kobiałką, Wit popatrzył na nią, bezgłośnie zaśmiał się do siebie, spojrzał na bratańca i pchnął go wskazującym palcem w brzuch. Mały odskoczył, śmiejąc się wgłos, potem padł stryjowi na plecy, objął ramionkami szyję i zakrzyknął:

— Pśto, klisiu, pśto! — Wit ztrząsnął go na ziem, stał nad nim rozkraczony, patrzyli w sobie w oczy, śmieli się obaj; mały wierzgał nogami.

W tejże chwili usłyszeli głos Ksieńca, poganiający wołu. Wit wywrócił nogą małego na brzuch, ruszył powoli ku wrotom. Gdy je odmykał, dojrzał, że ojciec wraca bez brata.

— A gdzie Zwój? — spytał zdziwiony.

— W grodzie ostał.

— W grodzie?

Niespodzianie Ksieniec zatupał nogami:

— Odjarzmiaj wołu. Chyżo. Wraz ci rzekę — zły był.

Białki widziały z chaty, jak ojciec z synem długo gwarzyli. Potem stary wyjął coś z wozu, poszedł za wrota. Po szybkim kroku Wita poznały, że niesie ważną wieść. Ledwo stanął w progu, krzyknął:

— Matko, gotuj sakwy z żarciem dla mnie a Zwoja.

Ksieńcowa plasnęła rękoma. — Coć, synku? — Wit sypał jednym tchem:

— Dymy widać nad puszczą, ksiądz wzywa wszystkich mężów. Ojciec poniósł wici do wsi. Ja wezmę topór a łuk i wraz... — naraz zatknęło go. Ledwie przerwał, dobiegł go ostry krzyk Maliny:

— Wit!

— Cichaj, nie rycz. Pomnij! — pogroził jej pięścią. W kącie chlipała Czarnula. Matka chwytała garnki, z pośpiechem, bez sensu, wszystko jej z rąk leciało.

* * *

Woły stękały, ciągnęły grube pnie cisowe wyboistą leśną drogą. Koła były rozciągnięte, dyle, związane skręconem łykiem, trzeszczały na przechyłach. Kmiecie podpierali kłonice, poganiali woły.

Łuki były osadą niewolną, włodarzył nią Chrząszcz. Najwięcej tu siedziało Weletów, ci najtęższi byli do gięcia łuków, krecenia strun i majstrowania tułów. Łuby na strzały robiły Prusy, a strzały

*) Fragment z powieści pt. „Bolesław Chrobry".

Adam Vetulani

Józef Feldman

Żałobne sztandary zawisły na gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego i Polskiej Akademii Umiejętności. Któż znowu ubył spośród grona tych, którzy niemiecką zbrodnią przerzedzeni wzięli się do mozolnego trudu budowy kultury duchowej?

Nieoczekiwana pada odpowiedź. Z grona profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, z grona uczonych członków Polskiej Akademii Umiejętności ubył w kwiecie wieku uczony wielkiej miary, pedagog i wykładowca szczególnie wybitny, całą duszą oddany walce o podniesienie kultury polskiej, o jej rozszerzenie tak, by najrychlej objęła wszystkich obywateli Rzeczpospolitej, którzy dotąd poza jej zasięgiem stać musieli: J ó z e f F e l d m a n.

W 47 roku życia, w 23 roku działalności naukowej odszedł od nas w chwilach dla naszego życia naukowego tak mozolnych i trudnych, on, który wśród młodego pokolenia historyków pierwsze zajmował miejsce i zapowiadał, że pod jego kierunkiem rozbudowane seminarium dziejów najnowszych stanie się nową szkołą historycznego myślenia, nowym ogniskiem wiedzy, promieniującym na całą Polskę.

Łączył w sobie benedyktyńską pracowitość archiwalisty, który w poszukiwaniu za nowymi materiałami do dziejów upadającej Rzeczpospolitej szlacheckiej ogarnął niezliczoną ilość poloników w archiwach drezdeńskim, berlińskim, wiedeńskim, z nadzwyczajnym talentem syntetyka. Fenomenalna wprost pamięć, która umożliwiła mu ogarnięcie i źródeł archiwalnych i całej literatury dla dziejów sprawy polskiej w XIX wieku, gdyż tym zagadnieniem zajął się skolei, łączyła się ze zdolnością do samodzielnej konstrukcji, ułatwionym ogromnym wyczuciem zasadniczej linii rozwojowej w polityce naszych bliższych i dalszych sąsiadów.

Wszechstronne, głębokie i samodzielne studia nad dziejami narodu i państwa polskiego w wieku XVIII i XIX uczyniły zeń historiografa wierzącego w wielkość naszego narodu. Krocząc śladem swego nauczyciela Władysława Konopczyńskiego i Szymona Askenazego umiał wykryć wśród cieni epoki saskiej — a poświęcił jej wiele studiów w swym pierwszym okresie działalności naukowej —, czynniki twórcze, przygotowujące wielkie dzieło odrodzenia narodowego, które doprowadziły do reformy stanisławowskiej, do ustawodawstwa sejmu czteroletniego i jego najpiękniejszego owocu: konstytucji majowej.

Zdając sobie doskonale sprawę z wad ustroju politycznego i społecznego szlacheckiej Rzeczpospolitej słusznie podkreślał, że wad tych Polska mogła się była wyzbyć, chciała się od nich uwolnić, ale przed podźwignięciem się z upadku, pracy, której podjął się sam naród, uniemożliwiły intryga i przemoc państw postronnych. Analizując sytuację międzynarodową Europy u progu XVIII wieku dojrzał największego wroga w pruskich Hohenzollernach, którzy przywdziawszy królewską koronę, potomkowie niedawnych lenników Korony Królestwa Polskiego, „propagowali niestrudzenie po dworach europejskich myśl rozdrapania Polski pomiędzy sąsiadów". Wtedy, w pierwszym okresie swej działalności naukowej, poświęconej dziejom Polski w epoce saskiej, zetknął się Józef Feldman z problemem polsko-pruskim i odtąd on stanie się centralnym zagadnieniem jego zainteresowań, jego twórczej pracy badawczej i działalności popularyzatorskiej.

Główną swą uwagę skupił na osobie twórcy potęgi pruskiej, duchowego przewodnika wszystkich późniejszych rządów niemieckich, na Bismarcku, największym niszczycielu polskości w XIX wieku, który przed drugą wojną światową był dla nas, jasno patrzących na europejską rzeczywistość polityczną, wprost symbolem dziejowego, wieczystego antagonizmu polsko-pruskiego.

Od r. 1924 począwszy drukuje szereg rozpraw i studiów, które są fragmentami do syntetycznego dzieła o Bismarcku i o jego stanowisku wobec sprawy polskiej. Pierwszy zarys tej syntezy to drukowana w Paryżu w r. 1934 w Revue Historique rozprawa p. t. Bismarck et la question polonaise, w której politykę żelaznego kanclerza w sprawie polskiej pierwszy przedstawił jako problem doniosły dla zrozumienia europejskiej polityki Bismarcka. Nic dziwnego, że praca ta odbiła się głośnym echem w zagranicznym świecie naukowym, a nawet przetłumaczona została na język holenderski. Jej też zawdzięczał zaproszenie do wygłoszenia wykładów w Sorbonie.

Dopiero w roku 1938 ukazało się jego obszerne studium „Bismarck a Polska", poprzedzone rozprawą o sprawie polskiej w r. 1848. Oba te dzieła na trwałe pozostaną wśród przedniejszych prac naszej najnowszej historiografii i którym, dla dziejów politycznych Europy trudno zna-

strugały Pieczyngi. Było trzech kowalów Niemców, ci groty kuli. Za Mieszki żelazne szypy mieli tylko rabowane u Sasów. Bolko nakazał samym kuć, całą drużynę zaopatrzył w żelazne ostrza.

Do Łuków przyjechał Budziwoj, wołał Chrząszcza. Razem oglądali klecie ze strzałami powiązanymi w wiązki; łuby z łyka i skóry; łuki ze zwolnionymi cięciwami, wysokie na człeka, z palonego cisu. Budziwoj śpieszył, ledwo co zjadł i wypił, przed odjazdem rzekł do Chrząszcza:

— Bacz stary, ksiądz kazał podesłać ci ludzi, przywiodą dwudziestu trzech. Nie żałuj ich, widziałeś? dymy nad puszczą, ninie strzały w ruch pójdą. Wiele ci wozów trzeba, by te, co je masz, odstawić?

— Siedemnaście — zaburczał Chrząszcz.

— Powiem w grodzie, wraz wyślesz powodem do Ślęzan, do Wrocławia, Głogowa a Niemczy. A łuki poślesz na Poznań, ksiądz ma tam szczytników, tym trzeba łuki dać. Do każdego łuku daj tuł, a łub z czterema dziesiątkami szypów.

— Mało.

— Bolko tak bajał: źle było dotąd, gdy woj był obciążony, kiej wół. A i tak niewiele weźmie. Pójdzie łucznik w las, wypuści strzały i w nogi.

Chrząszcz zaśmiał się.

— Ady... tak zawżdy bywało.

— Przeto baje Bolko: za łucznikami pójdą wozy pełne strzał. A zaprzężone będą one wozy nie w woły...

— Nie w woły? — huczał śmiechem Chrząszcz.

— Nie... — Budziwoj stuknął pięścią w kolano — nie w woły. W konie będą one wozy zaprzężone, iżby szybciej szły. A u onych wozów będą dwa otroki przy każdym: one doniosą strzały łucznikom.

— Hu hu hu!...

Budziwoj znów trzasnął pięścią w kolano, był strasznie podniecony.

— Tak tedy łucznikom nie trza oglądać się na szypy, jeno szyć o szyć. Taką to chytrość wydumał Bolko. I rzekł mi Bolko: niechże robią strzały i robią, a z całego ksiąstwa ślą do grodów śląskich. Tamok gotowe wozy będą, te podwiozą strzały łucznikom. Tedy nie leńcie się, jeno róbcie strzały a róbcie, pomnijcie. Rzekł mi ksiądz: zapowiedz włodarzom moim, nie minie ich nagroda. Tak jakby w bitwie pierwsi szli, a wrogów nabili mnogo, a jeństwo wzięli. Pomnijcie.

— Hu hu hu! — buczał Chrząszcz.

* * *

Żarek leżał na wznak, głowę złożył na kolanach dziewczyny, patrzył na pochylającą się nad nim twarz z szerokimi białymi zębami, świecącymi zza rozchylonych warg. Opalona twarz była najmilsza mu, najmilsza... Naraz wyciągnął ramiona, zaplótł jej dłonie na karku, przyciągnął ją do siebie, przywarł ustami do tych wilgotnych warg; gdy pocisnął mocniej poczuł chłodny ucisk zębów. Wtedy puścił ją, zaśmiał się krótkim głębokim śmiechem. Wykrzyknął rozradowany:

— Ojciec nie chce słać po cię dziewosłębów, brać cie do Śliźniowej gromady: Owa! Widzisz? dymy nad puszczą. Wrócę wojem, nie będę ojca pytać. Ksiądz po cię dziewosłębów pośle.

Już uśmiechała się tymi najmilszymi wargami, choć jeszcze na rzęsach łzy jej wisiały. Szepnęła:

— A jeśli ubiją cię?

— Ubiją? — wykrzyknął i zerwał się na równe nogi. Teraz on patrzył na nią zgóry, a ona podnosiła nań oczy pełne obawy i nadziei.

— Ubiją? — powtórzył już ciszej i zadumał się. Przez źrenice przepłynęła mu mgła. — Ubiją? — i z cichym rozradowanym śmiechem: — Jakże to mię ubiją? Abo się dam? Ubić? — nie odrywała oczu od jego mocnej sylwety, ciasno owiniętej w płótno, gibkiej i jędrnej. I na usta wypłynął jej uśmiech ufny i pełen spokoju. Żarek pochylił się, ujął jej głowę w obie ręce, szepnął zbliska w twarz:

— Jakże to: ubiją? Abo to kto na Śliźniowej polanie lepiej ode mnie z łuku strzela? abo sulicą rzuca? abo toporem tnie? abo biega? jakże to mają mię ubić? — i ten głęboki radosny śmiech grał w jego słowach, ożywił je, dawał spokój i pewność.

— Chodź! — podniósł ją z ziemi — słyszysz? rogi na polanie chrypią. Gotują się Śliźnie, będą mię szukać. Chodź — ujął ją ramieniem za kibić, przytulił, szli złączeni uściskiem, zataczając się, w stronę chrypiącego rogu.

* * *

Do Emnildy przyleciał Mieszka, konno, śpiesznie, ojciec kazał mu pożegnać się z macią. Wszedł, by woj, w zbroi, wysoki, na barach miał głowę małą, jasną, jeszcze całkiem chłopięcą. Błyszczały mu szare oczy. Podjął mać pod kolana, boćknął w rękę. Emnilda złożyła mu obie dłonie na ramionach, wyższy już był od niej, patrzyła nań przez śmiech i łzy. Nie wytrzymał radości, objął ją, zakręcił, by w pląsach.

— Ociec mi daje drużynę, ooo! — grało mu w gardle, by mosiądz. Matka zaśmiała się krótko szczęśliwym rwącym się śmiechem.

— Mieszka...

Odsunął się: „Bacz, matko, zbroja łuskowa. I szłom. A miecz! bacz jaki miecz: normański. Mówił piastun: jednym machem przerąbiesz i szłom i czerep tym mieczem. Miał-ci go Skjöld, krewniak Olafa syna Trygwy, Dzierżyk go przysłał ojcu po bitwie w cieśninie Swoldru. Bajał mi Giez Ślizień: i ojciec lepszego miecza nie ma. A koń..." — już tylko śmiech grał w krtani chłopca. Emnilda przyciągnęła syna, objęła go ramionami, trzymała w uścisku. Mieszka szepnął jej zbliska w twarz:

— Ojciec mi dał drużynę... dwieście, a dwieście łuczników... Drużyna!

Syn Odrzykonia ma źrebca od Piekuty, godny to koń. Skorek Świradowic, syn Przemka, mój druh... Kupa Turów i Nagodziców i Starżów i Starych Koni i Toporczyków i Obłołęków i Gdalów. Dziek, Sobieborów syn, Sławnikowic. Oo! maci! dymy po całym kraju, kędy dojrzeć. — Emnilda trzymała go wciąż w objęciach, szczęśliwe łzy spływały jej po policzkach. Na dworze parskały konie.

— Długo ostaniesz tu?

— Na Boga! Wraz mi jechać!

Wtedy puściła syna, szybkim krokiem podeszła do skrzyni, wyjęła mały rożek kuty srebrem, z dzbanka nalała miodu. Z napitkiem tym szła do Mieszki, syn czekał, oczy miał rozszerzone ze szczęścia. Emnilda umoczyła usta w miodzie, drżącą ręką podała mu róg. Pił pożegnanie rycerskie w oczyma utkwionymi w matkę. Prasnął pustym rogiem — jak ojciec — wtedy znów go uścisnęła.

Przed zachodem patrzyła, jak odjeżdżał, z kilkunastu młodymi jak on, chłopcami. Serce się jej trzepotało szczęściem i trwogą. Wargi się jej poruszały, szeptała jakieś wyrazy. Stojący obok Warcisław, nie odrywając od nich oczu, nie odwracając głowy, szepnął:

— Będzie chrobry, jak ociec, prawy wojewoda — Emnilda roześmiała się i prędko zrobiła znak krzyża na odżegnanie uroku.

* * *

Przyszła noc pełna powiewów i szumów. Cały uprzedni dzień snuły się dymy nad puszczą — wielki zew całego kraju, Ślęzan i Chrobatów i Polan, Mazowszan i Pomorzan, wszystkich ludów i plemion, puszcz, poręb, pól, grodów, osad nadrzecznych i nadjeziornych. Zamrowiło się księstwo. Szedł zew po wszystkich ziemiach.

Wielki zew — ku obronie. Zew żywych i umarłych, wszystkich dziadów śpiących z mieczem u boku i szłomem pod pachą — pod kurhanami, u stóp dębów, na wzgórzach i wydmach. Po całym kraju zwoływały się rody, całą swą siłę, wszystką moc — do wielkiej bitki na śmierć i życie. Rody zwoływały wszystką swą moc — ród Pistów i Orczyków i Nagodziców i Odrzykoni i Ostojów i Kruków i Wilków i Turów, rody wojów, wielmożów i kmieciów, oraczy, myśliwców i bartników, pasterzy i rybaków — po całym kraju. Przyszła noc pełna powiewów i szumów, noc wici i zewu, noc dziwów. Nad Poznaniem poruszył się cień rycerza, małego i krępego, z głową wtuloną w ramiona, w zbroi i z mieczem; na złocistym łańcuchu dyndał mu krzyż, odczepiony ongi ze złupionej zbroi niemieckiego rycerza. A za nim inne cienie, posępne i groźne, rogate i zbrojne, z grzywą spadającą na oczy, ze szramami ran z mnogich bitek po dzikich ostępach. W orczyckiej dąbrowie u stóp krzyża stojącego na obrąbku dębu, ruszyła się ziemia pod końską czaszką, ukazał się cień starego Wojbora z ponurym spojrzeniem zielonkawych oczu; i on był zbrojny i konny. Wici, wici! Z pod dębu Śliźniów wstał cień w lnie, z twardą kwadratową twarzą, z kamiennym toporem w garści. Wici, wici! Rój cieniów ruszył na zew, na wielką wojnę żywych i umarłych.

Wznowienie Polskiego Słownika Biograficznego

Polski Słownik Biograficzny, wydawany przez Polską Akademię Umiejętności, zawiera zwięzłe życiorysy zmarłych działaczy w zakresie naszej historii politycznej, wojskowej, społecznej, gospodarczej, naszej kultury, nauki i sztuki od początków państwowości aż do czasów obecnych.

Przed wojną ukazały się cztery tomy i 4 zeszyty tego wydawnictwa, obejmującego w porządku alfabetycznym życiorysy od litery A do Dr, razem około 4.500 biografii. Całość obliczona jest na 20 tomów i ok. 20.000 życiorysów. Wydawnictwo ukazywało się zeszytami, z których każdy zawierał ok. 180 życiorysów. Polski Słownik Biograficzny stworzył na gruncie naszym wzór naukowej pracy zespołowej, skupiał bowiem pod kierunkiem Komitetu Redakcyjnego (17 członków), a pod patronatem Rady Naukowej (ok. 50 członków) — blisko 750 współpracowników z całej Polski.

Każdy naród o wyższej kulturze postarał się już o wydanie swojego słownika biograficznego. Polska, skutkiem katastrof politycznych, dopiero od r. 1935 mogła zacząć realizować takie przedsięwzięcie, ale zato postawiła je od razu na wysokim poziomie. Inwazja niemiecka przerwała pracę i zagroziła jej podstawom. Dziesiątki współpracowników padły ofiarą wojny i hitlerowskiego terroru. Zniszczone zostały lub uniedostępnione różne archiwa i zbiory, z których Słownik czerpał materiały. Ocalało na szczęście archiwum Polskiego Słownika Biograficznego, dzięki czemu Redakcja po przełamaniu pierwszych trudności przystępuje obecnie do kontynuowania wydawnictwa. Wiadomość o oddaniu do druku kolejnego zeszytu P. S. B. (zeszyt 25) wywoła niewątpliwie radosny oddźwięk wśród licznych przyjaciół i odbiorców wydawnictwa. Tempo jednak i poziom zależeć będzie od środków pieniężnych Akademii, oraz od poparcia jakiego udzielą społeczeństwo.

Redakcja Polskiego Słownika Biograficznego zwraca się tedy z apelem do szerokich sfer zainteresowanych w rozwoju naszej kultury, a zwłaszcza do zarządów bibliotek naukowych, oświatowych, fabrycznych i szkolnych, zarówno państwowych, jak samorządowych o przystąpienie w charakterze stałych prenumeratorów do budowy tego wielkiego dzieła.

Polski Słownik Biograficzny będzie wychodził nadal zeszytami, dając na razie ze względu na trudności techniczne, nie pięć, lecz trzy zeszyty rocznie. Nakład Słownika będzie ze względu na konieczność oszczędzania papieru i koszta druku ograniczony. Polska Akademia Umiejętności pragnie go dostosować do istotnego zapotrzebwania bibliotek i czytelników. Cena najbliższego zeszytu w prenumeracie wynosić będzie ok. zł 200.—. Nowi prenumeratorzy otrzymują prawo pierwszeństwa w zaopatrzeniu się po zniżonych cenach w przedwojenne tomy Słownika. Prenumeratorzy przedwojenni będą mieli możność uzupełnienia kompletów zniszczonych.

Zgłoszenia prenumeraty przyjmuje biuro Redakcji, mieszczące się w gmachu Polskiej Akademii Umiejętności, Kraków, ul. Sławkowska 17, i ono też udziela wszystkich niezbędnych informacyj.

leść równych w naszej naukowej literaturze poświęconej czasom naszym. Jego „Bismarck a Polska", wydany przez tak zasłużony już przed wojną Instytut Śląski, ukazało się w tym brzemiennym roku, w którym hitlerowska Rzesza rozpoczęła marsz ku zdobyciu Europy. W rok później niemiecki but stanął na ziemi polskiej i hitlerowscy siepacze rozpoczęli dzieło niszczenia narodu polskiego.

Józef Feldman był wtedy we Lwowie, gdy 11 listopada 1939 r. profesorzy krakowskich wszechnic zapłacili swą wolnością — a tylu między nimi i śmiercią w obozie koncentracyjnym — za to tylko, że byli krzewicielami polskiej kultury. To uratowało Józefa Feldmana od śmierci z rąk tych, którzy od pierwszych dni opanowania Krakowa szczególnie go poszukiwali, za to, że pisał tak jak mu dyktowały źródła historyczne, że politykę niemiecką wobec sprawy polskiej przedstawił tak, jaką była w rzeczywistości.

Ale przyszedł dzień zajęcia Lwowa przez żołnierzy Trzeciej Rzeszy, a wraz z nimi wkroczyło tam Gestapo. Na Józefa Feldmana przychodzą lata tułaczki. Znajduje schronienie w murach franciszkańskiego klasztoru, wśród ojców i braciszków, którzy od razu poznali się na wielkości umysłu i wielkości serca swego gościa, z pogodą znoszącego ciężką dolę tułacza. Jak opowiadał Feldman pobyt w klasztorze franciszkańskim, rozczytywanie się w literaturze filoficznej, religijnej, społecznej, był dlań okresem niesłychanie głębokiej przebudowy wewnętrznej. Tam to ścigany postanowił wyjść naprzeciw niebezpieczeństwu. W r. 1942 opuszcza gościnę ojców franciszkanów, jedzie do Lwowa, kryje się w jego okolicach, a następnie do Warszawy. Od razu wchodzi w kontakt z obozem walki z okupantem. Jako profesor tajnego Uniwersytetu Warszawskiego wykłada i prowadzi seminaria, tam znajduje utalentowanych uczniów, którzy po wojnie pójdą za nim do Krakowa. Tam przede wszystkim pracuje z gorączkową pasją nad zagadnieniami historycznymi i politycznymi. W okresie warszawskim napisał 12 rozpraw. Niektóre z nich zostały ogłoszone w prasie podziemnej, inne zniszczały w czasie powstania warszawskiego. Cało przetrwał w walczącej, płonącej, konającej Warszawie. Szczęśliwym trafem uwalnia się od złego losu, który pchał go do obozu koncentracyjnego. Znów musi się chronić i ukrywać, ale umysł jego ciągle pracuje, choć umęczone ciało, przede wszystkim serce, znać mu dają, że z warszawskiego powstania, z nędzy i tułaczki powarszawskiej, wyszedł ze zdrowiem poważnie nadszarpniętym. Póki choroba nie powaliła go na łóżko pracuje wytrwale nad projektami reorganizacji studiów, przede wszystkim historycznych, nad ożywieniem działalności organizacji naukowych i przystosowania ich do nowych potrzeb, wśród których na czoło wysuwa się upowszechnienie kultury z jednej strony, z drugiej zaś urealnienie myślenia politycznego.

Ten problem wpojenia w społeczeństwo uświadomienia klęski, dyscypliny uczuć i irracjonalnych zrywów zajmuje jedno z pierwszych miejsc wśród jego głębokich rozważań. Szuka za drogami moralnego podniesienia społeczeństwa i oczy jego skierowują się na nowoczesny ruch katolicki we Francji ze swym szerokim i dogłębnym programem reform społecznych i gospodarczych. Przede wszystkim szuka kontaktu z młodym pokoleniem, gdyż zetknąwszy się blisko z młodzieżą w czasie tajnego nauczania w Warszawie, gdzie słuchaczy nie oddziela od profesora katedra, wyczuwa, że w ręku tego młodego pokolenia leży przyszłość Polski, w nich tkwi zaczyn lepszego jutra dla narodu wymęczonego niemiecką okupacją. Chce to pokolenie widzieć gorącym, lecz równocześnie rozsądnym i zdyscyplinowanym, myślącym nie ciasnymi kategoriami takiej czy innej teorii społecznej, ale humanistycznym, szukającym własnej syntezy.

Mało kto wie, że nowym ośrodkiem kulturalnym z którym po raz pierwszy dopiero po wojnie zetknął się Józef Feldman była instytucja Uniwersytetów Ludowych. Naocznie widział jak dawne pałace, odebrane właścicielom, stają się i mogą stać się powszechnie nową szkołą kultury narodowej, gdy pod mądrym i umiejętnym kierownictwem zajmą się wychowaniem i urobieniem osobowości młodego pokolenia chłopów polskich, żądnych wiedzy i tę wiedzę z łatwością przyswajających.

Świetny prelegent, wiedział o ogromnej roli żywego słowa. Dawniej brał bardzo czynny udział w wykładach powszechnych, lecz niestety choroba, z której powagi zdawał sobie sprawę, nie pozwoliła mu na rozwinięcie w tym kierunku żywszej działalności w odnowionej Ojczyźnie. Z tym większą gorączkowością pisał i pisał. Śmierć wyrwała go nam. Pozostawił wiele prac niedokończonych, nie ukazały się jeszcze tomiki wydawnictw, których był świetnym redaktorem, umiejącym pociągnąć do pracy współpracowników i skoordynować ich wysiłek. Nie widać dzisiaj zastępcy, który by mógł objąć po nim miejsce. Z pewnością przyjdzie taki, oby jak najrychlej, i by łączył w sobie i tę wyjątkowo głęboką wiedzę Józefa Feldmana, jego poświęcenie dla spraw publicznych i jego kryształowy charakter.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

Z KRAJU MILCZENIA

Opowiadania

Stron 278 Cena zł 180

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
»CZYTELNIK«

71

Kronika słowiańska

Z czeskiego życia literackiego

ZJAZD PISARZY CZESKICH

W Pradze obradował pierwszy powojenny zjazd pisarzy czeskich. Gustav Baresz w przedzjazdowym artykule opublikowanym w marksistowskiej „Tvorbie" pisze m. in.: „Kultura i literatura czeska zostaną wierne swym tradycjom. Czeski pisarz, poczynając od Niemcovej, Tyla, Havliczka zawsze szedł z ludem, również i w chwilach, gdy oznajmiało to twarde życie. Po tym ideologicznym credo Baresz mówi o zadaniach, jakie czekają zjazd. Najważniejszym z nich to **problemy tematyki,** postawione i rozwiązywane przed problemami formy. Baresz oskarża przy tym krytykę czeską, która nie wiele tylko uwagi poświęciła temu ważnemu zadaniu. Brak jest ważniejszego dzieła, które by zrobiło obrachunek z literaturą i wysnuło wnioski konkretne i aktualne. Literatura czeska, jeśli ma być literaturą narodową, musi skończyć z poezją notującą defetystyczne wynurzenia a nastroić się musi na nową optymistyczną strunę. Zadaniem literatury jest ukazanie sił, które wewnątrz narodu czeskiego pracowały na jego zgubę oraz sił, które przyniosły zwycięstwo wolności i ludzkości. Musi się w niej objawić nowa etyka pracy. Prócz tych i innych wielkich celów są również cele małe a to: **więcej humoru, i ostrej smagającej satyry aktualnej i otwartej wesołości i radości dobrego człowieka Coli Breugnona — oraz więcej nowych pieśni dla ludu,** nowych pieśni ludowych o aktualnych wydźwiękach ideowych czy historycznych. Rozwiązania tematyczne przyniosą z pewnością także nowe rozwiązania formalne.

Takie są przedzjazdowe uwagi Baresza. Zjazd miał przebieg nader uroczysty i podniosły. Przemawiali m. in. prezydent republiki Edward Benesz, minister prof. Zdeniek Nejedly, prezes Syndykatu Pisarzy Czeskich poeta Franciszek Halas. Wysłano uroczyste telegramy, z których zwraca uwagę telegram do Rady Bezpieczeństwa ONZ. W manifeście zjazdu czytamy m. in.:

„Ludowo demokratyczna republika uwolni wszystkie twórcze siły narodu i zaręczy im pełną swobodę; wytworzy właściwy stosunek człowieka do pracy, wyrastający z naczelnych nakazów socjalizmu a nie z jego siły. Z pozycją ludu zmienia się też od razu pozycja pisarza, który przemienia się z obrońcy w twórcę. W porządku społecznym, który wytworzymy społem, zniknie rozdział między jednostką a społeczeństwem, ponieważ rozwój jednostki i rozwój społeczeństwa zaplatają się i wspierają się nawzajem." **(brzym)**

DYNAMOARCHIZM

Co to jest dynamoarchizm? Kto wynalazł dynamoarchizm? W Pradze pojawili się jego manifestanci, skupieni wokół pisma „Aktiv, sbornik noveho umieleckeho myszleni". Z manifestu „dynamoarchistów" (jakże się przypominają przedwojenni polscy „synarchiści", którzy usiłowali tworzyć wielki ruch polityczny) wyjmujemy co celniejsze wyjątki:

„Rękami **miłości** rozbijemy **nienawistnie** to, cośmy znaleźli. Siłą i pokorą jest nam dane rozbić rzeczy, ludzi, świat... Aż do atomów włącznie... W głębi anarchii znaleźliśmy archię... Anarchia jest rodną ziemią archii... i t. d."

Tyle dla rozweselenia. **(brzym)**

REGIONALIZM LITERACKI NA CZESKIM ŚLĄSKU

Na Śląsku czeskim i wiążącym się z nim regionie ostrawskim rozwijać się ostatnio zaczyna twórczość literacka regionalna, tematyką czy pochodzeniem autorów ściśle związana z tą okolicą, która zaczyna nabierać swego charakteru. Pisze o tym krytyk literacki „Svobodnego Slova" (7 czerwca): „Śląsk, kraj hulczyński, kraj ostrawski to okolica b. interesująca nie tylko ze względów narodowościowych, ale i językowych czy socjologicznych. Jest to jakby teren skrzyżowania się wpływów niemieckich, polskich, morawskich i czeskich... Jest to kraj pełen charakteru, gdzie nie znajdziemy piękna czy uroku bez twardej walki o byt, kraj ostrych kontrastów życia miejskiego z życiem na wsi, kraj techniki, hut i kopalni, ale także wielkiej i prostej wiary religijnej. Ten pełen swoistego charakteru i ciężko doświadczony lud ma swój własny język twardy, ale pełen wyrazu a jego literatura regionalna jest może najbardziej wyrazista jaką mamy..."

Do tej literatury należy książka Ludmiły Horzkej „Rzeka"; jest jakby dalszy ciąg kroniki śląskiej tejże autorki „Doma". Jak i poprzedni utwór tak i „Rzeka" jest jakby epicką opowieścią o losach ludu nad Opawicą, opowieść o jego smutkach, radościach ujęta jakby w jeden epicki rapsod.

„Czerne znameni" Władysława Trzeneckiego (zamęczonego w Oświęcimiu w 1942 r.) to powieść z życia górników, z mocno zarysowanymi charakterami i konfliktami i psychologicznym podłożem, rzucona na tło doskonale opisanego środowiska górniczego za Austrii i podczas pierwszej wojny światowej.

Innego problemu dotyka znów Fr. Szmeja w swej powieści „Jidasz". Są to dzieje jednej ze wsi na hulczyńskim w okresie przed 1938. Był to okres gdy propaganda niemiecka działała na hulczyńskim b. silnie a obrona czeska była słaba. Hulczyńskie należało do krajów o których się zapominało i stąd wielką niespodzianką było, gdy nagle w 1938 większość mieszkańców tego kraju okazała się b. dodatną na hasła Henleina. Wieki obcego panowania i zerwania więzów z Morawami zrobiły tu swoje. Lud był czeski ale świadomości narodowej nie posiadał. To właśnie przedstawia nam powieść Szmeji. Tragedia osamotnionych działaczy czeskich w morzu propagandy niemieckiej, nie znajdujących ani poparcia ani zrozumienia wśród własnego społeczeństwa czy własnych czynników rządowych to nie tylko tragedia wsi opisanej przez Szmeję, ale tragedia całego hulczyńskiego. Krytyka czeska podkreśla też aktualność tej powieści, która staje się „memento", dla tych, którzy żyją w tym kraju, „aby już nigdy nie powtórzył się rok 1938" („Nova Svoboda" 28. IV. 1946).

Także z tego środowiska pochodzi Zdenek Bar, autor świeżo wydanego tomiku opowieści wiążących się z regionem śląsko-ostrawskim „Ztraceny domov". Do przeszłości śląskiej sięga Wojciech Martinek w zbiorku poezji „Monology Jury Trzanovskeho". Są to poezje z lat 1940—1941. Martinek pod wpływem przejść pierwszych lat okupacji sięga w przeszłość i szuka pocieszenia w rozwiązaniu nad losami rodaka śląskiego, zresztą Polaka, o czym czescy autorowie zwykle zapominają, którego losy też bynajmniej nie oszczędziły, który zaznał tylu zawodów, upokorzeń i tułaczek. Te przejścia Trzanowskiego ubrał Martinek w formę wierszowanych obrazów. (Warto przy tym wspomnieć, że podczas wojny wyszły na Słowacji nowe przyczynki do Trzanowskiego: życiorys jego opracował Jan Durovicz; wydana została poza tym korespondencja znanego badacza Trzanowskiego ks. Mocki z literatem słowackim Kutlikiem, obejmująca okres jubileuszu Trzanowskiego w 1891—1892).

Grupa literatów śląskich przystąpiła też do wydawania swego własnego pisma. Numer pierwszy tego pisma p. t. „Czislo" ukazał się i zawiera m. in. programowy artykuł Drahomira Szajtara, który zwraca uwagę na to, że „dużo o regionaliźmie mówi się tam gdzie nie ma sztuki, literatury". Szajtar podkreśla, że „nawet najbardziej regionalny autor nic nie znamionuje o ile nie jest artystą". „Czislo" zawiera zresztą nie tylko materiał literacki śląski, ale i pozaśląski, poza tym poświęca sporo miejsca literaturze rosyjskiej.

Równocześnie ekspozytura krajowego Narodnego Vyboru w Morawskiej Ostrawie ogłasza nagrody na „dzieła literackie, artystyczne czy naukowe, tworzone w okresie niewoli między 1 października 1938 a 1 majem 1945". Nagrody wynoszą od 5 do 8 tysięcy koron. Warunkiem uzyskania nagrody jest „praca związana tematem ze Śląskiem" i „przynależność rodzinna autora do Śląska". Nagrody mają być wypłacone 28 października 1946. **jr.**

W szkole Janka-Muzykanta

Nie ma tutaj nieszczęśliwych Michasiów, których znamy „Z pamiętników poznańskiego nauczyciela", są za to szczęśliwe Janki-muzykanty, które nareszcie znalazły drogę do zaczarowanej krainy tonów i za wzięcie do ręki skrzypiec nie biorą śmiertelnych razów — ale pochwały Mały przykład: w okresie końcowym wakacji zjawił się w kancelarii dyrektora wiejski chłopak z prośbą o przyjęcie go do szkoły. W toku nawiązanej rozmowy okazało się, że chłopiec grywał na wsi na różnych instrumentach, najczęściej zaś na organach. Uczył się sam, ze słuchu. Przeprowadzony egzamin wykazał wybitne zdolności muzyczne. Oczywiście, został przyjęty, zamieszkał w internacie, który mieści się przy szkole — i robi szybkie postępy w nauce gry na fortepianie; ten bowiem obrał sobie instrument. W szóstym miesiącu nauki doszedł daleko, bo do dwugłosowych inwencyj Bacha. To wiele. Inny, aż z pod Raciborza, tak pięknie wytłumaczył swoją miłość do kontrabasu w gwarze, pachnącej Rejem, że przekonał najsurowszych nawet egzaminatorów o słuszności swoich ambicyj artystycznych. Dziś „buczy" na mało popularnym instrumencie po cztery godziny dziennie w klasie, która leży nad mieszkaniem dyrekcji. Władza więc wątpić nie może o pilności ucznia, który melodiami, splecionymi z najniższych tonów basowych, spowiada się ze swej wytrwałej miłości do muzyki.

Romek z drugiej klasy, popularny w szkole wesołek i dowcipniś, pierwszy do psot i figlów, jest też pierwszym tenorem solistą w zakładzie — i śpiew jego słychać na każdej przerwie. Jest stałym bywalcem oper; zaszyty gdzieś między dekoracje śledzi z zapartym tchem, cały w słuch zamieniony, wszystkie partie solistów i chóru operowego. Kiedyś po przyjściu z któregoś tam przedstawienia „Toski" do późnej nocy męczył się, próbując odśpiewać całość. I... odśpiewał wcale dobrze.

Każdego wchodzącego w godzinach popołudniowych do gmachu Wyższej Szkoły Muzycznej uderza potok dźwięków, dochodzących ze wszystkich klas. Wejdźmy do pierwszej z brzegu klasy. Skrzypnięcie klamki zagubiło się niedostrzeżone w dźwiękach muzyki; odbywa się lekcja skrzypiec. Na pulpicie rozłożone nuty, wpatrzona w nie blondyneczka miga sprawnie palcami po strunach, dobywając tonów, a ucho profesora rejestruje każdy dźwięk, bada jego barwę i czystość, notuje błędy.

Z głębi korytarza słychać gamy i pasaże, rozsypujące się perliście. Uchylamy następnych drzwi — przy fortepianie młody chłopiec, którego palce przebiegają po klawiaturze z zadziwiającą szybkością. Na pulpicie inwencje trzygłosowe Bacha. Nasza obecność nie peszy go bynajmniej.

W auli na drugim piętrze odbywa się właśnie próba chóru. Cała młodzież zakładu obowiązana jest do uczestnictwa w chórze. Próby odbywają się dwa razy w tygodniu po lekcjach szkolnych. Teraz w ogromnej, wysoko sklepionej sali, huczy śpiew jak organy. Płyną pieśni Moniuszki, z którymi za parę dni stanie młodzież przed mikrofonem radiowym. Zaznaczyć trzeba, że chór, orkiestra szkolna i młode talenty szkoły cieszą się dużym powodzeniem w mieście, a nawet poza nim są znane. Młodzież uczestniczy często w imprezach, organizowanych przez władze, przez inne szkoły, czy przez instytucje kulturalne. Pianiści i skrzypkowie brali udział w części artystycznej „Śród" Instytutu Śląskiego, wieczorów Klubu Literackiego, są stałymi współpracownikami, organizowanych dla dzieci w Domu Kultury poranków i audycyj muzycznych. Co miesiąc próbują swoich sił przed mikrofonem radia.

W ten tedy sposób szuka się rozwiązania problemu „zapoznanych talentów" i uzgodnienia postulatów szkoły z jednej, z potrzebami młodzieży artystycznie uzdolnionej — z drugiej strony.

Na dwa lata przed wojną powstało w Katowicach, jako placówka w pewnym sensie eksperymentalna, liceum muzyczne, pierwsza tego typu szkoła w Polsce. Celem wznowionego po wojnie liceum jest skupienie w swoich murach młodzieży uzdolnionej w muzyce i przygotowanie jej fachowe do przyszłej roli muzyków: wirtuozów, teoretyków i twórców, oraz pedagogów muzycznych, z uwzględnieniem jednak wykształcenia humanistycznego, tak potrzebnego artyście. O potrzebie istnienia takiej szkoły w terenie świadczy fakt wzrastającej frekwencji młodzieży i ciągle napływających zgłoszeń, których dyrekcja nie może uwzględnić z powodu szczupłości oddanej jej do dyspozycji części gmachu Konserwatorium, gdzie znalazły pomieszczenie klasy szkolne. Liczba uczniów gimnazjum i liceum muzycznego wynosi w tej chwili 200. Jest rzeczą niewątpliwą, że duża liczba młodzieży, muzycznie uzdolnionej, pozostaje poza murami tej szkoły. Skupienia tej młodzieży, w większości wypadków pozbawionej zupełnie kierownictwa pedagogicznego, w szkole, dającej pełne możliwości rozwoju jej uzdolnień, leży w interesie przyszłości polskiej sztuki muzycznej. Dotychczas okazywane tej „wylęgarni talentów" zainteresowanie społeczeństwa pozwala na optymistyczne refleksje.

Szkoła walczy z wielu trudnościami. Jedną z pierwszych jest szczupłość zajmowanego lokalu. Sal szkolnych jest tylko tyle, ile stworzono oddziałów. To stwarza konieczność zastosowania „numerus clausus". Nie wszyscy zgłaszający się mogą być przyjęci. Klasy: od pierwszych — do czwartej włącznie są przeludnione, a ich uczniowie cierpią na brak przestrzeni w dosłownym znaczeniu. Ze względu na znaczny procent młodzieży z poza terenu katowickiego, której nie stać na opłacanie prywatnych stancyj, stworzono przy szkole internat, osobny dla dziewcząt i chłopców. W tej chwili obejmuje on tylko jedną czwartą ogółu młodzieży, gdyż warunki lokalowe nie pozwalają na skupienie w nim wszystkich zgłaszających się uczniów, którzy dojeżdżanie, nawet z bliższych miejscowości, traktują jako zło konieczne.

Inną bolączką szkoły jest brak pomocy naukowych: nie ma pracowni fizycznej, pracowni przyrodniczej, sale gimnastyczne zbyt małe i pozbawione zupełnie przyrządów, biblioteki — zwłaszcza muzyczna — słabo wyposażone. Brak nut, szczególnie szkół na fortepian, skrzypce, wiolonczelę, oraz kompozycyj mistrzów klasycznych, partytur na chór i orkiestrę — odczuwa młodzież najdotkliwiej. Te luki w wyposażeniu biblioteki muzycznej napewno mogły by w krótkim czasie zostać uzupełnione, gdyby mieszkańcy Katowic, którzy objęli mieszkania poniemieckie z instrumentami muzycznymi i zbiorami nut, okazali zainteresowanie dla tego jedynego — jak dotąd w Polsce, gimnazjum i liceum muzycznego.

Felicja Kisielińska

Komunikat

W związku z opodatkowaniem się naszego tygodnika na budowę t. zw. „Domu Słowa Polskiego", tj. kompleksu zakładów wydawniczych, jakie powstają w Warszawie z inicjatywy Sp. Wyd. „Czytelnik", cena pojedynczego numeru „Odry" została podwyższona do zł 10,—. Nastąpiła również odpowiednia podwyżka ceny w prenumeracie.

»ODRA«
powinna znaleźć się
w każdej świetlicy!

Sikorski i jego żołnierze

Książka Stanisława Strumph Wojtkiewicza*) powoduje takie skurcze mięśni sercowych, jakie odczuwa się wtedy, gdy wzruszenie nie znajduje ujścia w wybuchu nerwowym. Po jej przeczytaniu jest się równie dumnym, równie wściekłym i równie głupim, jak ci prości żołnierze, którzy nie mogli pojąć śmierci Generała. Przebąkiwano o sabotażu. Ale kto go dokonał? Komu zależało na tym, żeby ten największy Polak czasów wojennych i jeden z największych obywateli świata zginął? Strumph - Wojtkiewicz nie nazywa morderców, ale sugestywnie dopuszcza myśl, że... mogli to być Polacy spod znaku kliki oficerów sanacyjnych. A może to istotnie tylko wypadek spowodowany niewytłumaczalnym zablokowaniem sterów na „Liberatorze"? Nie można zająć co do tego niestety żadnego stanowiska. Niczego nie wiemy i długo jeszcze śmierć ta pozostanie chyba tajemnicą. Tymczasem jednak sugestia Wojtkiewicza wżera się jak robak w myśl i serce. Boże, do czegoż może doprowadzić małość i krótkowzroczność polityczna! Czyżby historia Polski miała być do końca napiętnowana tym tragizmem dziejów, że dochodzą do głosu mali i niegodni, aby zaprzepaszczać dorobek Jej największych?

Dzieje Sikorskiego to głównie dzieje walczącej Polski, walczących, z niczego stworzonych pułków, dywizji, armii. To wszystkie bitwy na lądzie, w powietrzu i na wodzie. To bohaterstwo samotnych jednostek, wydzielonych do zadań specjalnych.

Przede wszystkim też tej chwale polskiego żołnierza poświęca Wojtkiewicz najwięcej miejsca. Jakiż to był inny żołnierz w porównaniu z żołnierzem np. francuskim! Nie bez przyczyny przed nim świat chylił i chyli nadal czoła. Tym bardziej więc boli fakt, że ta opromieniona sławą największą, krew z krwi i kość z kości narodu wyrosła armia polska, staje się przedmiotem targów, małości, oszczerstw, ambicji i że nie wraca...

Kiedy nie dawno temu zapadła w Warszawie decyzja sprowadzenia do kraju śmiertelnych szczątków Generała jeden głos był głosem wstrzymującym się przy uchwalaniu wniosku. Był to głos człowieka, któremu Generał powierzał najtajniejsze swoje myśli, któremu ufał bez granic, czyniąc go swym politycznym spadkobiercą. Może człowiek ten czuł, że trumna Generała sprowadzona do kraju mogła by być wykorzystana do aktów nietaktownej propagandy? Może powrót Sikorskiego bez licznych dziesiątek tysięcy jego żołnierzy uważał za powrót dziwnie zdysharmonizowany; otóż wraca Wódz, a gdzie jego żołnierze? Pewnie by najstraszniej bolało to serce generalskie, tyle razy zresztą przebijane ostrzem złych i małych Polaków. „Kapitulant" krzyczano nań, „zdrajca narodu" wołano.

W Rosji po podpisaniu w obecności Stalina dziejowego aktu wspólnej drogi dwu wielkich narodów słowiańskich powiedział Generał: „Bóg patrzy w moje serce... Widzi i zna moje intencje oraz zamiary, które są czyste i rzetelne. Jedynym mym celem jest wolna, sprawiedliwa i wielka Polska. Ku tej Polsce was prowadzę i z Bożą pomocą doprowadzę."

Książka Strumph Wojtkiewicza mimo pewnych nie dość uzasadnionych sądów (np. na str. 23 mówiąc o Generale powiada „w natrętnej analogii z Piłsudskim chciał sławy żołnierskiej") **należy do najcenniejszych publikacji powojennych w tej dziedzinie.**

Każdy Polak, któremu nie obojętne są losy własnego Narodu, jego żołnierzy i jego Wodza, książkę tę musi przeczytać. Z przebiegu wszystkich kampanii bitewnych, z przebiegu akcji politycznych, z błędów emigracyjnych, z imponujących czynów, trudów niewypowiedzianych, z godności i wielkości imienia polskiego w świecie — musimy brać lekcje na dziś i na jutro.

Uczmy się Polski i wypleniajmy małość z Narodu, małość, która jak zawsze w ciągu historii Polski tak i teraz nie objawia się u nas w starciach orężnych, lecz w starciach politycznych i w rozgrywkach partyjnych. Z książki Strumph Wojtkiewicza dowiadujemy się raz jeszcze z czego płynie sława polska w świecie i z czego na prawdę możemy być dumni ale także.. z czego w świecie płynie wstyd dla nas i co nas w opinii pogrąża. **Zby.**

*) Stanisław Strumph-Wojtkiewicz — „Sikorski i jego żołnierze". Nakł. Księgarni Ludowej T. Lemańskiego.

Sprawy teatru

Na marginesie dwu premier szczecińskich

Sezon letni, dyrektor i naczelny reżyser Teatru Polskiego w Szczecinie (Bronisław Skąpski) zainaugurował komedią „Damy i Huzary". Nie będziemy zastanawiali się, dlaczego inscenizator wybrał właśnie tę — z wczesnego okresu twórczości — komedię Fredry. Zadecydował — sądzę — sentyment dyr. Skąpskiego do roli Kapelana, którą — nawiasem mówiąc — ujął kapitalnie; jego „nie uchodzi" posiadało całą skalę tonacji, znamionującą rasowego aktora, o nieprzeciętnej kulturze artystycznej.

Zanim przejdziemy do oceny spektaklu, warto scharakteryzować nieco warunki, w jakich teatr montował pierwsze przedstawienie.

A więc: 1) abstrahując od fatalnej akustyki sali, oraz niefortunnie ustawionych krzeseł, trzeba stwierdzić, że gmach teatru właściwie nie jest jeszcze wyremontowany i zwłaszcza t. zw. strona techniczna (np. „strzelające" instalacje) pozostawia wiele do życzenia; 2) zespół, w dużej części składający się z aktorów początkujących, montowany był na krótko przed premierą; 3) kostiumy, obiecane przez dyrekcję krakowską, zawiodły i w ostatniej chwili trzeba je było szyć na miejscu, oczywiście nie rozporządzając ani materiałem odpowiednim, ani fachowcami w tej dziedzinie; 4) punkt może najważniejszy — subwencja w wysokości 150 tysięcy zł. — ludziom choć trochę orientującym się w stosunkach teatralnych — jasno obrazuje sytuację materialną teatru. To wszystko winno się wziąć pod uwagę, zanim rozpocznie się „krytykę".

Przy okazji warto parę słów poświęcić poziomowi widowni w ogóle, a poziomowi widowni szczecińskiej w szczególności.

Wojna i w tej dziedzinie pozostawiła głębokie ślady; nie bez racji w ciągu sześciu lat obywatele G. G. karmieni byli przez okupanta „ersatzem" kulturalnym (rewiowo-kabaretowym).

Skutek: przeciętny odbiorca kultury nastawiony jest na „lekkość", na rozgrywkę.

W Szczecinie można to zaobserwować w teatrze (przerażające reakcję widowni!), w kinie, w radio (gdzie szaleje epidemja „lekkich piór").

Żeby ratować kulturę przed zalewem owej „lekkości" trzeba natychmiast zacząć wychowanie „konsumenta" kultury.

Zadanie to, w pierwszym rzędzie, może spełnić teatr — oczywiście teatr dramatyczny, który by pokazał widzowi, niejednokrotnie po raz pierwszy, odpowiedni repertuar.

Na ziemiach zachodnich zagadnienie to posiada wagę specjalną.

Dlaczego o tym wszystkim piszę?

Dlatego, że zaledwie Szczecin uzyskał jaki taki teatr stały — już są komplikacje.

Komplikacje spowodowane są naszymi „talentami" organizacyjnymi. „Ktoś" (dokładnie jeszcze nie wiadomo kto, ale w każdym razie „ktoś" z władz wojewódzkich) niezależnie od teatru, dyr. Skąpskiego zaangażował jeszcze lwowski zespół, liczący — ni mniej, ni więcej tylko 250 ludzi; wcale głośno mówi się już o wysłaniu teatru dyr. Skąpskiego w objazd... Ponieważ zespół lwowski reprezentuje ów wyżej wspomniany charakter „lekki", nie wolno do tego dopuścić.

Szczecin musi mieć teatr, a nie rewię!

Bardzo współczuję aktorom lwowskim, których lekkomyślnie tu ściągnięto — ale ponieważ Szczecina nie stać na dwa teatry stałe, nie możemy ich przyjąć kosztem likwidowania teatru dyr. Skąpskiego.

Ci, którzy nawarzyli tego piwa, niech się martwią, aby tak rozwiązać dylemat, żeby nie skrzywdzić osiadłych na lodzie lwowjaków.

Działać trzeba szybko, za nim rozgoryczony dyrektor Teatru Polskiego w Szczecinie przyjmie propozycję Dyrekcji Teatrów Miejskich we Wrocławiu!

Wracając do „Dam i Huzarów" — z zespołu, poza Skąpskim, na czoło wysuwa się Grabowska, doskonała w geście, której Orgonowa (w sukni... z kurtyny) świetnie sekunduje Kapelanowi Skąpskiego.

Reszta zespołu na poziomie niższym, ale poprawnym. Należy jedynie żałować, że Rotmistrz w interpretacji Witolda Michalskiego był więcej „flip-flapowski", niż fredrowski.

Z epizodów. Poznańska (Fruzia) i Liberda (Rembo) „budzą" — jak się to mówi — nadzieję.

Krystyna Waśkiewicz (recytatorka prologu) posiada doskonałą dykcję i efektowną sylwetkę. Jeśli chodzi o inscenizację — jedyne zastrzeżenie budzi „żywy obraz" w odsłonie pierwszej.

Druga premiera: „Moralność Pani Dulskiej" — wypadła bez porównania lepiej. Nawet Janusz Grot (Zbyszek) „mięknie", choć gra jego wciąż jeszcze pozostawia wiele do życzenia.

Miłą niespodziankę zgotowały panie. Maria Lelska (Hesia) i Krystyna Karska (Mela) bardzo dobre, zwłaszcza Mela w miarę naiwna i na prawdę wzruszająca.

Karina Waśkiewicz (Hanka) okazała się doskonałym nabytkiem — rzetelny talent.

Na czele oczywiście Skąpski i Grabowska (małżonkowie Dulscy) poziomem gry przypominali stare, dobre czasy teatru. Obecność tych dwojga aktorów w zespole gwarantuje podciągnięcie się innych.

Stanisław Ostrowski.

Na Opolszczyźnie jest publiczność teatralna

Opolski teatr pod dyrekcją Pawła Staśki stał się jedną z najruchliwszych placówek kulturalnych na Ziemiach Odzyskanych. Mimo wyjątkowo ciężkich warunków materialnych, braku aktorów, którzy już w chwili rozpoczęcia spóźnionego sezonu byli wyłowieni do teatrów środkowej Polski, potrafił nie tylko bawić, ale i uczyć. Wystawiono szereg pozycji z żelaznego repertuaru — Słowackiego, Fredrę i Zapolską. Prócz stałych przedstawień w Opolu, wydzielono dwa zespoły wymienne, które objeżdżają cały Śląsk. Sto kilkanaście przedstawień przy nabitej sali odbytych po wsiach i miasteczkach ma swą wymowę.

Zweryfikowani Ślązacy nie czują języka hierackiego, sprawia im trudność, w twarzach zanim wsłuchają się znać wysiłek, nim oswoją się z rytmem i akcentem — wtedy rozjaśniają się w uśmiechu. Przy tak dokuczliwym braku książek, polskiego filmu historycznego, teatr, przy na prawdę demokratycznych cenach biletów, jest nieoceniony. Przykładem żywiołowej reakcji, łapiącej za serce, był stary Ślązak, który po pewnym przedstawieniu wręczył Sciborowi Rylskiemu pudełko papierosów, a jego partnerce kilka cukierków na patykach, i uciekł zawstydzony. Pamiętajcie, że dla większości to są niezapomniane przeżycia, pierwszy teatr polski od czasu plebiscytu.

Dlatego Teatr Opolski zasługuje nie tylko na słowa uznania, ale przede wszystkim na poparcie i stałą, poważną subwencję.

* * *

Znana komedia Pagnola „Mariusz", grana przez Teatr Opolski na objeździe w Głuchołazach ma swoją popularną klasę, żywą akcję i tę uczuciową chuśtawkę od grubego śmiechu scen farsowych, po smutne zamyślenie, grawitujące w pogranicze dramatu. Każdy w niej znajdzie coś dla siebie. Pagnol składa się zręcznie, z wyrachowaniem ukłon w każdą stronę, drwi z konwencjonalnej moralności mieszczańskiej, a równocześnie podkreśla urok życia rodzinnego, serdeczny związek między ojcem i synem.

W przedstawieniu brali udział aktorzy: Bakka, Jerzmanowska, Szmar, Stepaniak, Posiadłowski, Herba i w roli tytułowej, zagrał Mariusza — Tadeusz Żakiej.

Role męskie były lepiej obsadzone. Gra ojca Mariusza spokojna, opanowana, wstydliwie skrywane uczucie miłości ojcowskiej, dawały wzruszenie, również i stary, niefortunny adorator Panisse budził szczere współczucie przez swą, pełną rezygnacji wytrwałość w uczuciach. W momentach tragicznych i głupio ludzkich, był lepszy jak w humorystycznej jowialności. Ukochana Mariusza odpowiadała typem fizycznym burzliwej, południowej atmosferze utworu. Czuło się w niej rozleniwienie i zmysłowość rozbudzonej dziewczyny, świadomie dążącej do celu, idącej za głosem krwi i rozsądkiem mieszczańskim. Role charakterystyczne marynarza maniaka i jedynego pasażera były zagrane przekonywująco.

Mariusz był najtrudniejszy, w jego roli kryły się długie, martwe pola wyłączenia z akcji, marginesowego tkwienia na scenie. Żakiej stworzył postać młodzieńca, marzącego o wyprawach na dalekie wyspy, a trudniącego się prozaicznie nalewaniem wódki w marsylskim bistro. Scena pojednania z ojcem i scena zazdrości były wygrane najsugestywniej. Mniej przekonywująco wypadła sielanka miłosna kochanków, pewna bluszczowatość i piosenka zbyt podszyta smutkiem, choć może to nawet było w charakterze tego, dziewiczego marzyciela, Mariusza urzeczonego morzem. Dlatego nagły wyskok po wstydliwych wyznaniach, niespodziewany pocałunek i słowa finału, wyzwolenie się, odtrącenie kochanki dla wyprawy na morza, było trafne i zmuszało do solidaryzowania się z decyzją Mariusza. Trzeba tu przyznać, że gra całego zespołu była wyrównana i dawała widzowi pełne zadowolenie. Jedynie można by usunąć kilka wulgarnych zwrotów, które są niesmaczne, a nic do kolorytu nie wnoszą. Dekoracje, które udało się przewieźć nie budziły zastrzeżeń, choć wypełniały tak scenę, że sztuką było na niej umieścić ruchy artystów, przyzwyczajonych do przestrzeni teatru opolskiego. Znowu możemy zarejestrować plus na konto dyrektora Staśki. **wż.**

Na linii Londyn—Paryż

W prasie krajowej ukazało się dotychczas kilka artykułów, w których nasi autorzy podali ogólny rzut na życie kulturalne odrodzonej Francji, ściślej zaś mówiąc — powojennego Paryża. Jakimi natomiast oczyma patrzą na to samo zjawisko sąsiedzi zza kanału La Manche? W lodyńskim piśmie „Observer" zamieszczono artykuł paryskiego korespondenta, Raymonda, interesującego się szczególnie życiem muzycznym w stolicy Francji.

W pierwszym rzędzie autor próbuje odpowiedzieć na pytanie, które z miast jest dzisiaj stolicą muzyczną Europy: Londyn, czy Paryż? „Nie jest tak łatwo — stwierdza Raymond — zadecydować o tym. Na polu zwyczajnej ilości produkcji muzycznych Londyn przoduje. Jest tam mniej więcej trzy razy więcej koncertów, niż w Paryżu. Muzyka w Paryżu nie zdobyła sobie w ogólnym życiu kulturalnym miasta tego miejsca, co w Londynie w okresie ostatnich 7-miu lat. W stolicy Francji nie ma się uczucia, że muzyka „chwyta", co w Londynie zauważy nawet laik. Chodzenie na koncerty stanowi obecnie większą część ogólnego życia city, w Paryżu natomiast jest ono jednym z przejawów artystycznych rozrywek, popieranych przez jedną grupę inteligencji.

Możliwe, że to jest jednak czynnikiem, decydującym o jakości. Nie mogę uogólniać sprawy jakości wykonania. Paryż nie ma niczego w rodzaju naszych chórów, czy naszych zespołów smyczkowych, a w odniesieniu do muzyki kameralnej wolę również Londyn, mimo istnienia w Paryżu kwartetu Calvet'a i tria Pasquier'a. Ale modny nałóg w muzyce kameralnej, mianowicie tendencja do przerafinowania i muzycznych szeptów jest silniej podkreślany w Paryżu, niż u nas. W dziedzinie wielkiej orkiestry sytuacja jest podobna do naszej: jedna dobra orkiestra (Konserwatorium) i około pół tuzina znośnych. Natomiast co Paryż posiada, a czego znów brak Londynowi — to wielka tradycja operowa. Opera paryska, jakkolwiek nieco konserwatywna i nie mająca chwilowo szczególnie nadzwyczajnych głosów, pozostaje nadal imponującą placówką, wobec której nasza wygląda nieco prowincjonalnie.

Nie mogę pominąć jednego momentu dodatniego w Paryżu, który jest istotniejszy, niż wielu ludzi sądzi: nowy Pałac Chaillot (zbudowany w 1937 roku), będący przypuszczalnie najlepszą salą koncertową w Europie. Łączy ona wprost rozkoszną akustykę z komfortem i powagą. W czasie przerw dostarcza publiczności poprzez olbrzymią szklaną ścianę palarni wspaniały widok na ogrody Champ de Mars. Biedny Londyńczyk, który musi pchać się do Kensingtonu dla przyjemności posłuchania muzyki i modlić się cały czas, aby echo w Albert Hall'u nie było zbyt złe w miejscu, gdzie on właśnie siedzi!

Ale są to szczegóły. Ostatecznie, kultura muzyczna zależy dzisiaj od jej publiczności — od nieznanej masy, chodzącej na koncerty, które przejęła w pełni rolę dawniejszej arystokracji. Ta masa poprzez swoją samorzutną, a czasami błędną ocenę, swoje upodobania i niechęci, swoje niemal nieświadome „tak", czy „nie", zadecyduje w końcu o tym, jakie ślady muzyczne pozostawią obecne czasy potomności.

Znamy wszyscy naszą dzisiejszą publiczność londyńską: masy entuzjastów i znawców; rozległą, bystrą, młodą, demokratyczną publiczność, zapaloną w swoich upodobaniach, niemal super-wierną dla swoich pupilów, może zbyt łatwo ulegającą zadowoleniu, lecz żywą i w pełni szczerą. Paryż również ma swoją masową publiczność, ale jej temperament jest nieco pohamowany w porównaniu z londyńskim: raczej są to zwolennicy muzyki, niż jej miłośnicy, naród, traktujący muzykę w towarzystwie, jako ogólne odprężenie i dalszy ciąg dobrego obiadu.

Ale to nie wszystko. O ile Paryż ma mniej entuzjastyczną publiczność, o tyle jest ona może bardziej bystra, pewniejsza siebie i poważniejsza. Wydaje się wolniejszą od dwóch niebezpieczeństw: snobizmu i oklaskiwania. Ma to, czego brakuje Londynowi: prawdziwą tradycję wspaniałej mieszczańskiej europejskiej publiczności XIX wieku, żyjącej w okresie największego rozwoju muzyki. Trudniej jest w Paryżu doprowadzić publiczność do szaleństwa, względnie kazać jej lubić to, czego nie lubi: jest tam więcej dyskusji i sporów. A krytycyzm muzyczny nie jest wyłącznie czysto techniczną sprawą, które zjawisko tak łatwo obserwujemy u nas".

Z zestawienia tego można wywnioskować, że o ile Londyn przoduje w rozmachu, różnorodności i ilości produkcyj muzycznych, o tyle Paryż w tej dziedzinie przewyższa City z nad Tamizy w innych momentach, wśród których i sama publiczność odgrywa niemałą rolę. **(paw)**

Znajduje się już w sprzedaży
zbiór poezji
Jana Baranowicza
jako I zeszyt
Arkusza Śląskiego
wydawanego przez Zw. Zaw. Lit. Polskich Oddział Śląski

W druku jest zeszyt II „Arkusza Śląskiego" a mianowicie
zbiór poezji
Aleksandra Widery

Cena 1 egz. 25 zł

Glossy i notatki

CZYTAMY PRASĘ

Są artykuły, które się czyta po to, by za chwilę o treści ich zapomnieć, są inne, które ważnością problemu, ciężarem gatunkowym zagadnienia poruszanego, przykuwają na długo umysł czytającego. Które wreszcie domagają się oddźwięku w świecie poza publicystycznym i poza literackim. Do takich właśnie należy odkrywczy reportaż **Franciszka Gila** w nr. 27 **„Odrodzenia“** o dzieciach i wyrostkach na Ziemiach Odzyskanych. **Franciszek Gil**, w doskonałym, nacechowanym autentyzmem literackim, szkicu („Z rajzerami na etapach Puru“) objawia przed nami zupełnie nieznany świat włóczęgów; świat młodocianych włóczęgów z wszystkimi możliwymi aspektami moralno-społecznymi i państwowymi tego zagadnienia. Nie możemy się powstrzymać od chęci przytoczenia końcowych momentów tego artykułu, naszym zdaniem, obciążającego przecież czyjeś konto w sposób poważny. Czyje konto? Właśnie, że nie tak łatwo to ustalić. Ale oto czytajmy Gila:

Tych chłopców zostawiliśmy nam Niemcy. W lagrach Zabrza czy Hindenburga, na Pomorzu, na Śląsku, w obozach angielskiej i amerykańskiej strefy. Po odejściu Niemców otrzymali niedobrą, wojenną wolność. Szli „na rynek“ po jedzenie, szli na niemieckie wsie, szli po tyle lat zamkniętą w Niemczech młodość — gdzie bądź i coraz częściej. Nie wierzcie w to, że mogli wówczas pójść do szkoły, do ich śmiesznej „ochronki“, wrócić do jakiegoś domu. Należała się im ta frontowa wolność. Ale potem my musieliśmy wpierw odbudowywać mosty i elektrownie, stacje i zwrotnice, a tymczasem urzędnicy od filantropii myśleli, że stratę matki, stratę młodości w wolnej ojczyźnie można komuś wyrównać pieniędzmi. Tak nie zdołaliśmy im pokazać wolności pokoju piękniejszej niż zakład poprawczy. Nie zachwyciliśmy tych chłopców możliwością stania się polskim marynarzem, polskim lotnikiem, polskim inżynierem... Nikt nie przychodził na etap Puru ani z komitetów opieki społecznej, ani z organizacji młodzieżowych, nie wyświetlono dla nich ani jednego filmu, żaden harcerz, żaden wychowawca nie powiedział im, czym dzięki nim może się stać nasz kraj, czym mogą stać się oni — w nim. Na mieście w komitetach dawano im pieniądze, a w izbie na etapie gromiono ich za to. Społeczeństwo miało dla nich tylko litość i oburzenie, tylko szturchańce i zapomogi. Szybko nauczyło ich wzbudzać tę litość, zarabiać bez płaszcza i unikać albo gardzić oburzeniem. Miast budować za te pieniądze szybowce i motorówki dla tych chłopców, miast stwarzać wielkie centra morskiego i lotniczego szkolenia, **miast wznosić domy, w których mając kino i radio, pływalnie i biblioteki, korty i warsztaty, kształciliby się na majsrów i techników naszych zjednoczeń przemysłowych** — dawało im ekkomyślnie w każdym mieście olbrzymie sumy do ręki, do własnego rozporządzenia, stając się współgrabarzem ich lepszej przyszłości... Ale za to wszystko, co w stu miastach Polski bezmyślnie wręcza się jednemu chłopcu, za sumy wydane na utrzymanie jednego rajzera na etapach Puru, za zapomogi, wydębione przez paru chłopców w komitetach całego kraju, a zmieniające się dziś w jeden strumień wódki, papierosów i ciastek, można utrzymać ich tysiące, utrzymać dostatnio nie tylko w ośrodkach szkoleniowych, zwracających wkład po długich latach, ale zbudować czy kupić obrabiarki, za którymi z dumą staną ci, chłopcy.

Kto wzniesie dom, w którym Józków z „Zoleszczyk“ nie trzeba będzie oddzielnie zamykać, w którym sami z radością pochylą się nad konstrukcją płatowca, nad tłokami motorów? Kto zaufa tym chłopcom, kto wyprowadzi ich z etapów Puru i korytarzy komitetów na kapitańskie mostki i bocianie gniazda, kto wyśle ich do naszych centrów szkolenia morskiego nad Gopłem, kto da im w ręce stery i kierownice? Wierzcie mi, to będą najlepsi ludzie polskiego morza, to będą nieustraszeni lotnicy. Oni — „źle wychowani“, oni — włóczęgi i rajzery — dzieci nie „z dobrego domu“, najlepsze nasze dzieci“.

Przeprosić wypada za tak długi fragment z „Odrodzenia“, jednak uczyniliśmy to celowo, by jak największa część społeczeństwa polskiego mogła się z tym zagadnieniem zapoznać i znaleźć jakieś środki zaradcze... przeciw powszechnemu u nas marnotrawieniu grosza, który mógł by służyć na budowanie takich domów i takich ośrodków, o jakich wyżej wspomina Franciszek Gil.

Niewiele nam już zostaje w tej rubryce miejsca; wspomnieć jednak pragniemy choćby telegraficznie o drugim, bardzo cennym artykule, tyczącym się spraw, jakie nas głównie interesują. Mamy na myśli syntetyzującą wypowiedź **Mariana Jedlicza**, zamieszczoną w nr. 68 **„Tygodnika Powszechnego“** (z dn. 7 lipca br.). **Marian Jedlicz** jest tutaj bystrym obserwatorem zjawisk socjologicznych, jakie zachodzą na Dolnym Śląsku. Mimo uwagi, którą opatrzył swój artykuł, zatytułowany „Bez uproszczeń i bez retuszu“ — nie jest to obserwacja „na migawkę“. Artykuł uwypukla znakomicie m. in. trud zżywania się repatrianta osadnika z nową ziemią, oraz poważną rolę społeczną i narodową parafii kościelnej, jednoczącej najczęściej, nieubłaganych skąd inąd, wzajemnych wrogów partyjnych. Każdy, kto macha beznadziejnie ręką i powiada „i tak nie damy rady nad Odrą“ — niech łaskawie przeczyta ów spokojny i obiektywnie napisany artykuł Jedlicza; boć mimo wszystko egzamin jaki tam zdajemy, powiada autor „nie wypada najgorzej... fakty mówią za siebie“.

Zby.

Korespondencja

Co na serio a co żartem

Bardzo cenię dyskusje na piśmie, bowiem dają one możliwość dojścia do jakichś, określnnych przez obie dyskutujące strony uznanych, rezultatów. Przeciwnie bywa w dyskusjach słownych, gdzie najczęściej oponenci mówią różnymi językami, każdy działa pod wpływem odmiennego rodzaju impulsów i nie sposób wprowadzić jakiejkolwiek, przez obie strony zaakceptowanej metody czy dyscypliny dialektycznej. Tymczasem, gdy dyskutuje się na piśmie, zawsze można błąd metodologiczny przytrzymać „in flagranti“, można ustalić wspólną terminologię, można się cofnąć i zbadać, w którym momelncie dyskusja przestała być dyskusją a stała się podwójnym monologiem. Tak jest — jeśli obaj dyskutujący chcą w istocie skrzyżować ze sobą — argumenty. Bywa także inaczej: można zwalczać przeciwnika również na piśmie, ale nie argumentami — pamfletem, drwiną, insynuacją czy zdemaskowaniem ukrytych sprężyn jego działania, czasem atakiem wręcz irracjonalnym, opartym tylko na wybuchu uczuć. Nie zawsze bowiem można używać argumentów, zaś ośmieszanie, demaskowanie, czy „elektryzacja“ krótkimi spięciami bywają czasem bardziej skuteczne niż dowodzenie i przekonywanie. Stąd pamflet, ironia, drwina zyskały sobie w publicystyce politycznej miejsce od wielu setek lat i to miejsce równorzędne z innymi metodami walki intelektualnej. Trzeba tylko umieć je odróżnić: nie można podawać inwektyw czy epitetów za argumenty lub odwrotnie, nie można mieszać gatunków — wtedy bowiem dyskusja na piśmie upodabnia się do jałowej szermierki słów wyrzucanych niezbyt przytomnie przez podnieconych starciem partnerów. Bowiem zadając najbardziej gwałtowne i nieoczekiwane ciosy należy dbać o styl walki i — zachować samemu opanowanie nerwów. Inaczej — cios idzie w próżnię, szpada wylatuje z ręki, a szermierz pozostaje na placu z miną niebardzo fortunną.

Takie i tym podobne refleksje nasunął mi atak na mnie, umieszczony w Nr. 21 „Odry“ przez pana „wż“. Pan „wż“ to, o ile się zdaje, pewien zdolny młody literat, znacznie jednak mniej zdolny — jak widać z jego występu — polityk i taktyk. Trochę wyrwał się jak przysłowiowy „Filip z konopi“ (na pocieszenie dodaję, że przysłowie to pochodzi podobno od szlachcica Filipa ze wsi Konopie, który na sejmie za dynastii Wazów zaproponował uwłaszczenie chłopów), trochę jak żaba, co łapę nadstawia, a trochę jak ów niedźwiedź, co chcąc zabić muchę na czole swego śpiącego pana, roztrzaskał mu głowę kamieniem. Atak p. „wż“, oparty na niewątpliwym niezrozumieniu tekstu mojego artykuliku o „Dziś i Jutro“ nie wydaje się służyć żadnemu sensownemu celowi politycznemu — jedynie może temperamentowi autora — a sprawie katolicyzmu w Polsce wyraźnie szkodzi, dając broń do ręki przeciwnikom. o, patrzcie, jak się kłócą! Jeśli chodzi o mnie, to stwierdzam, że inicjatywę „Dziś i Jutro“ uważałem i uważam za jedną z najciekawszych i najżywszych koncepcji polityczno-ideologicznych w wolnej Polsce, zaś grupę współpracowników tego pisma za jeden z najdynamiczniejszych i najżywotniejszych ośrodków wśród katolików młodszego pokolenia. To też z przykrością patrzyłem i patrzę, jak pismo to, z powodu niezbyt jasnej taktyki, przesadnej ostrożności, niechęci do precyzowania i angażowania się podrywa swój kredyt zaufania w społeczeństwie, jak pada ofiarą plotek i absurdalnych insynuacji, jak traci znaczenie polityczne. W artykule moim o „Dziś i Jutro“ dałem wyraz tym obawom i wątpliwościom, kierując się przy tym jak najprzychylniejszą dla pisma intencją. Intencję tę odczuli zresztą sami zainteresowani, kwitując mój atak pozytywnym doń stosunkiem i częściowym potwierdzeniem słuszności wysuwanych zarzutów. Ale pan „wż“, plus catholique que le pape — wyczytał u mnie zupełnie co innego. Mógłbym na tym zakończyć, traktując jego występ jako przypadkową gaffę, mógłbym też przejąć się jego quasi pamfletowym stylem, w którym, sądzę, dorównał bym mu na pewno. Ale chodzi mi o samą rzecz, nie o pustą szermierkę. P. „wż“ wysunął pod moim adresem zarzut, na który chciałbym przed czytelnikami „Odry“ odpowiedzieć. Pisze on mianowicie:

„Chciałbym raz usłyszeć od niego coś postulującego, jakiś pozytywny plan przemiany — prócz szyderczego śmiechu“.

Otóż „coś postulującego“, „pozytywny plan przemiany“ definiowałem niejednokrotnie. P. „wż“ nie czytał — szkoda. Powtórzę więc jeszcze raz. Za wielką i rewolucyjną rolę katolickich koncepcji społecznych w dniu dzisiejszym uważam dążność do znalezienia trzeciego wyjścia między dwiema antynomiami, z których żadna nie przyniosła dotąd ludzkości szczęścia. Antynomie te, to z jednej strony liberalistyczny kapitalizm, z drugiej państwo planowego etatyzmu, czyli kapitalizmu państwowego. Rezultaty etatyzmu, jeśli chodzi o położenie człowieka pracy wydają się w istocie zbliżone do rezultatów kapitalizmu: państwo uzyskuje nad jednostką absolutną przewagę, a potrzebując wciąż dochodów dla swych inwestycji, które są nieograniczone (rozbudowa przemysłu, zbrojenia itp.) nie podnosi stopy życiowej człowieka pracy. Jako wyjście z tego widzę inną, nową koncepcję, koncepcję katolicką, przeciwstawiającą się idei państwa — molocha czy państwa — mrowiska. Zrealizowanie tej koncepcji polegało by na **decentralizacji** przemysłu i na **uspołecznieniu** go, tj. oddaniu go w ręce samodzielnych grup pracowniczych, zorganizowanych np. w farmy spółdzielni. Różnica między upaństwowieniem a uspołecznieniem zajmowała nieraz umysły katolickich myślicieli społecznych, wyrażona jest również w encyklikach papieskich. Sądzę, że w ugruntowaniu świadomości tej różnicy i w walce o uspołecznienie produkcji zawierają się wielkie możliwości **katolickiej przemiany społecznej** — stąd moja pretensja do „Dziś i Jutra“, że sprecyzowania tych spraw unika, ze szkodą dla siebie, bo rezygnuje z oświetlenia problemu, który w katolickiej idei społecznej jest najważniejszy, mianowicie stosunku jednostki do zbiorowości, inicjatywy prywatnej do uspołecznienia planowanego.

Zdefiniowałem chyba sprawę jasno — choć ogólnikowo. Dalsze materiały znajdzie p. „wż“ w dokładniejszej lekturze katolickich teorii społecznych — sądzę, że to mu się przyda. Na zakończenie stwierdzę jeszcze, że nerwowy ton jego wypowiedzi w zestawieniu z jej chwiejnością argumentacyjną i taktyczną trochę mnie zdziwił. Może to autor właśnie dał wyraz jakimś swoim utajonym a dla mnie niezrozumiałym „kompleksom“ psychologicznym które wylazły spod młodego serca „jak pluskwy spod starej tapety?“

Stefan Kisielewski.

Książka Ziem Odzyskanych

Biuro studiów osadniczo- przesiedleńczych. II sesja Rady Naukowej dla zagadnień Ziem Odzyskanych. Kraków 1946.

W 22 nr „Odry“ poświęciliśmy kilka ogólnych uwag pracom dyr. Zajdy i doc. Buławskiego, zamieszczonym w pierwszym zeszycie II sesji Rady Naukowej. W uwagach niniejszych omówimy jeszcze pokrótce pracę doc. Szaflarskiego („Zagadnienie odpływu ludności w ciągu ostatniego wieku z Ziem Odzyskanych, a nasza akcja osadnicza na tym terenie“) oraz prof. Olszewicza („Sprawa reemigracji ludności Polski“).

Doc. Szaflarski stwierdza w swoim studium kapitalną rzecz. W ciągu niespełna jednego wieku (1852 — 1939) odpłynęło ze wschodnich krain Rzeszy 4,6 mil. ludności, w tym z terenów należących dziś do Polski 2,8 mil. Odpływ ten odbywał się w 3-ch kierunkach: zagranicę, do zachodnich, przemysłowych części Niemiec, wreszcie ze wsi do miasta. Zważywszy strukturę gospodarczą wschodnich Niemiec, należy przyjąć, że był to w przeważającej mierze odpływ ludności rolniczej. Szczególnie istotnym w powyższych wywodach autora jest stwierdzenie systematycznego odpływu ludności ze wsi do miast. Wzmacnia ono bowiem jeszcze dodatkowo tezy, zawarte w pierwszorzędnej pracy doc. Buławskiego. Jeżeli bowiem procesy migracyjne ze wsi do miast były zjawiskiem typowym dla Niemiec — skąd inąd wiemy, że dotyczą one również innych terenów Rzeszy — to niedoludnienie wsi niemieckiej może być jedynie uzupełnione niemiecką ludnością rolniczą, odpływającą z Polski. Obawy też niektórych autorów i dziennikarzy zagranicznych odnośnie tego, co się stanie z nadmiarem ludności przemysłowo-miejskiej w Niemczech, jeśli istniejące luzy na wsi wypełni się niemieckimi wysiedleńcami są bezprzedmiotowe i bez sensu. Procesy bowiem, odbywające się od wieku, są nieodwracalne. Socjologia zaś i demografia znają tylko jednostronną migrację, ze wsi do miast. Odpływu w kierunku przeciwnym nie znają. To też jeżeli procesów tych nie udało się odwrócić nawet narodowemu socjalizmowi, nie uda się ich zmienić chyba nikomu.

Co do naszej akcji osadniczej na Ziemiach Odzyskanych, to cenne są uwagi doc. Szaflarskiego o niejednolitej chłonności poszczególnych części tych ziem. W szczególności wykazuje autor 5 rejonów na Ziemiach Odzyskanych, co do których należy przewidywać, co w dalszym ciągu, nawet w zmienionych warunkach geopolitycznych wykazywać będą tendencję „Oddawania ludności na zewnątrz“. W obecnej akcji osadniczej należy to brać pod uwagę.

Prof. Olszewicz, stwierdzając w swym ciekawym referacie ogrom zaniedbań ze strony naszych badań odnośnie emigracji polskiej, próbuje ustalić stan liczbowy oraz strukturę zawodową emigracji trwałej. Na skutek ubóstwa ścisłych i pewnych materiałów nie jest wprawdzie w stanie osiągnąć dokładnych danych liczbowych, ale na podstawie przeprowadzonych zestawień ze wszystkich środowisk emigracyjnych ustalił z dużym prawdopodobieństwem, że całość naszej przedwojennej emigracji przewyższa niewątpliwie cyfrę 6 mil., nie dosięga jednak 8 mil., jak byliśmy przyzwyczajeni sądzić przed wojną.

Myśl przewodnia, jaka przyświeca prof. Olszewiczowi w jego dociekaniach, to konieczność i możliwość wyzyskania Polonii Zagranicznej w naszej akcji osadniczej na ziemiach nowych. Sugestię tę można jedynie przyjąć z pełnym uznaniem. Emigracja polska szczególnie w niektórych krajach (Polacy amerykańscy, westfalczycy, Polacy w Danii) przedstawia duże walory, zwłaszcza gdy idzie o organizacyjne i fachowe kwalifikacje. Tego zaś elementu szczególnie potrzebują Ziemie Odzyskane.

Interesującej pracy Henryka Kopcia („Zjawiska demograficzne, towarzyszące zmianom granic Polski“) nie możemy już tu omówić z uwagi na rozmiary materiału i danych liczbowych, jakie zawiera, w czym do pewnego stopnia nawet przytłacza czytelnika. Pozwolimy sobie jedynie sprostować małą omyłkę na stronie 39. Autor, mówiąc o odsetku ludności polskiej, pobranej przez Niemców do wojska na ziemiach wcielonych do Rzeszy, stwierdza, że pobrani nie mogli stanowić zbyt wysokiej liczby i uzasadnia to w zdaniu: „Z pośród tych (Volksdeutschów) i to kategorii I i II rekrutować się mogli żołnierze niemieccy pochodzenia polskiego“. Nie jest to ścisłe. Zaciągani byli bowiem również t. zw. Volksdeutsche III kategorii, przy czym niektórym już po wcieleniu do armii nadawano kategorię II, ale nie wszystkim.

Zamykając nasze uwagi odnośnie pierwszego zeszytu II sesji Rady Naukowej dla zagadnień Ziem Odzyskanych, musimy stwierdzić, iż rzadko trafia się publikacja zbiorowa, w której wszystkie prace posiadały by wysoki poziom naukowy. Należy sobie też gorąco życzyć, aby z pracami Biura Studiów Przesiedleńczo-Osadniczych i Rady Naukowej przy tym Biurze zapoznały się najszersze koła opinii polskiej.

Alojzy Targ.

Biblioteka Popularno-Naukowa. Seria: Ziemie Odzyskane. Karol Górski: Krótkie dzieje Prus Wschodnich. Nakładem Państwowych Zakładów Wydawnictw Szkolnych, Warszawa, 1936. Stron 92 z mapką i ilustracjami.

Prusy Wschodnie są tą częścią terytorium państwa polskiego, która ma najtragiczniejsze dzieje. Przez tysiąc prawie lat ten dostęp do morza, to wybrzeże i ta puszcza nad jeziorami mazurskimi i Olsztynem i Warmią na czele były przedmiotem starań i prób przyłączenia ze strony narodu polskiego. Jakieś straszliwe przeznaczenie przekreślało te wysiłki.

Misja chrześcijańska Św. Wojciecha i Jego następców nie dała skutków. Wyprawy książąt dzielnicowych nie były w możności opanować oporu Prusów, odznaczających się niechęcią do życia zespołowo-państwowego.

Oddanie kraju Krzyżakom w 1229 stało się klęską, którą dopiero rok 1945 powetował, usuwając Niemców z tego bastionu północy, skąd w 1939 r. generał Guderian ruszył na Polskę na czele tysięcy czołgów.

A przecie były chwile, że już, już Prusy prawie organicznie i w stu procentach były złączone z Polską. Taka była chwila po zwycięstwie grunwaldzkim w roku 1410. Taki rok 1454, kiedy Związek Pruski, Jaszczurkowscy i Jan Bażyński udali się pod opiekę Kazimierza Jagiellończyka, który w trzynastu latach ciężkich zmagań pragnął dokończyć kruszenia sił krzyżackich. Nawet chociaż w 1525 Zakon przedzierżgnął się w Księstwo Hohenzollernów, jeszcze w wieku XVII, z Wiśniowieckiego i Sobieskiego widoki odzyskania dziedzictwa ojców w Prusach były bardzo wielkie.

Na Warmii do końca Rzeczypospolitej siedzieli biskupi polscy, między innymi Ignacy Krasicki, piszący tu wielką część swoich arcydzieł. Pomniki polskie w rezydencjach, kościołach i zamkach trwają do dziś w wielkiej ilości. W wieku XIX nastąpił żywiołowy renesans polskości mazurskiej w Prusach.

O wszystkim tym, o tysiącletnim dramatycznym dążeniu Polski poprzez Prusy ku morzu mówi nam właśnie praca Karola Górskiego, profesora Uniwersytetu Toruńskiego.

Mamy o dziejach Krzyżaków olbrzymie tomy, pełne erudycji, cyfr, dat i głębokich roztrząsań, o Prusach wielkie monografie, rozporządzające rozległym materiałem. Praca Górskiego ma nad nimi tę wyższość użyteczną, że jest jasną, zwięzłą, pozwalającą ująć całokształt zagadnienia w jednym wielkim rzucie. Likwiduje ona dawny problem krzyżacki i wschodnio-pruski. Zamyka wielki rozdział historii.

Napisana przez znawcę przedmiotu, z talentem, rozmachem, zapałem, jest doskonałym wprowadzeniem w problem, który był zmorą i koszmarem tysiącą lat polskiej historii. Jest to książka, która nosić powinna tytuł Wyzwolenia (Nareszcie nad morzem). Nareszcie należy do nas Wisła i jej ujście! Nareszcie powiększyliśmy Polskę o obszar, który jest jej życiem i życia tego zabezpieczeniem!

Ludwik Ręgorowicz.

Churchill wyglądający z za „żelaznej kurtyny“. Według rysunku z tygodnika „Tvorba“.

O źródła powstań

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W nr 22 „Odry“ z 14. lipca br. ukazała się recenzja Władysława Bortha, poświęcona mojej książce o trzecim śląskim powstaniu. Autor recenzji przeciwstawia się kilku twierdzeniom książki, podając własną ocenę niektórych wydarzeń. Wydaje mi się, że przyczyna rozbieżności leży w odmiennym sposobie podchodzenia do pewnych wydarzeń przez ich uczestnika i przez historyka. Historyk buduje pewien obraz przeszłości na podstawie tego, co znalazło swe odbicie i uwiecznienie w przekazach źródłowych. Nie to, co się rzeczywiście działo, ale to, co i jak o pewnych sprawach zapisano, jest ostatecznie podstawą historycznej pracy. Pod tym względem góruje w pewnym stopniu nad historykiem uczestnik pewnych wypadków, gdyż mogą mu być znane różne sprawy, których — o ile nie zostały opublikowane czy udostępnione innym — nie uwzględni w swej pracy historyk i które **nigdy** nie zostaną użyte jako jeden z czynników odtwarzania przeszłości. Z drugiej zaś strony uczestnik pewnych wydarzeń rzadko tylko potrafi się oprzeć tendencji przeceniania ważności wypadków, w których uczestniczył i pozytywnego raczej oceniania swej w nich roli.

Wydaje mi się, że w tym m. in. leży przyczyna pewnych różnic w ocenie roli Powiatowych Komisariatów Plebiscytowych i sądownictwa polowego. (Krytyczną ocenę ich początkowej działalności oparłem na opinii najbardziej chyba w tym względzie kompetentnego człowieka bo szefa sądownictwa polowego dr Wusatowskiego).

Pewne nowe szczegóły wnosi autor do sprawy przyczyn buntu grupy „Wschód“ i dymisji Mielżyńskiego. Szczegóły te wykraczają poza dotychczasowe przekazy drukowane, i to nie tylko — jak autor recenzji pisze — poza wspomnienia Grażyńskiego czy Mielżyńskiego, ale i poza publikowane wspomnienia Korfantego. Może ma rację p. Borth, ale — stosownie do tego, co zaznaczyłem na wstępie — wiadomości te staną się podstawą dla historyka dopiero wtedy, gdy należycie umotywowane, zostaną odpowiednio opublikowane. I wtedy oczywiście niekoniecznie muszą obalić sądy dotychczasowe, ale dopiero wtedy przez sumiennego historyka muszą zostać rozpatrzone i uwzględnione w jego pracy poznawania przeszłości.

Omówienie tych kilku spraw, w których — jak mi się wydaje — podstawą rozbieżności sądów jest różnica postawy recenzenta i mojej — nie ma w najmniejszym stopniu być zapoczątkowaniem sporu o to, kto i o ile ma rację. Chodzi o rzecz o wiele ważniejszą. Chodziło mi o wykazanie na tych kilku przykładach, jak konieczną jest rzeczą, aby ci wszyscy, co mają cośkolwiek do powiedzenia o tych czy innych sprawach z śląskiej przeszłości, uczynili to, i to uczynili w taki sposób, by wypowiedzi ich stały się źródłem historycznym. Bo tylko wtedy dorzucą cegiełkę do budowania prawdziwego, a przynajmniej możliwie jak najbardziej do prawdy zbliżonego obrazu przeszłości.

Kazimierz Popiołek

Redaguje komitet. Red. naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik“, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 40 zł, kwart. 120 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn. „Czytelnik“ Katowice, 3. Maja 12. Wydawca. Sp. Wydawn. „Czytelnik“
R 23047